

ROK I. Nr. 4.

KWIECIEŃ 1925.

CENA EGZEMPLARZA: 60 groszy.

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ.

ROK I. KWIECIEŃ 1925. № 4.



Jan Matejko: Zmartwychwstanie.

ALLELUJA!

Kto mówi, że kresem życia ludzkiego to ciemna mogiła, kto mówi, że szczytem ducha to szczyt Golgoty i krzyż oblany krwią, niech oczy oderwie od cmentarzy i spojrzy w czyste lazurowe niebo, na jasne łąki zielone w żółtych kaczeńcach i jaskrach, na obumarłe wierzby w srebrnych kotkach i baśkach, ku nowemu życiu rozprężające gałązki; niech spojrzy w lichą poczwarkę motyla, z której się owad tęczowy dobywa — i niech wczuje się, niech wczyta w tę tajemniczą księgę przyrody, którą Bóg przed nim rozkłada.

A potem niech rękę położy na ludzkie serce: wsłucha się w jego najgłębsze, niczem nie zatłumione głosy; w jego drgnienia odwieczne, w jego nieugaszone pragnienia szczęśliwości i życia.

I niech z Marjami trzema zajrzy w pusty grób Pański, gdzie leżą już tylko białe, złożone chusty, przesiąkłe tu i tam czarną plamą krwi...

I niech z ziemią kwitnącą i niebem w promieniach słońca, sercem pełnem wiosny i życia, z radosnemi u grobu Marjami zaśpiewa.

Niech zaśpiewa hymn nadziei i wiary, pieśń świętą radości młodej i wezbranej: Alleluja! Alleluja! Alleluja!

Kres nasz — żywot! A żywot — wiekuisty.

Cel nasz — szczęście i radość — odwieczna.

Żyć będziem. Królować będziem. Boga żywego my dzieci...

Alleluja! Alleluja!

* * *

Kocham was dzwony rezurekcyjne, grające w ciche zaranki wielkanocne ..!

Serce moje uderza w takt zgodny z sercami waszemi.

Drży w nas braterska, wspólna radość z trjumfu Pana naszego i Króla!

W waszym rozdźwięku srebrzystym, jędrnym jak młodość, a radosnym jak wiosna, jawi mi się przed oczy Jego słoneczna, królewska wizja.

To już nie „Mąż boleści" w koronie z cierni, wyniszczony i umierający, o wargach spiekłych, w gorzkim posmaku cykuty!

To Król!

Zwycięzca idący zasiąść stolicę z blasku, by władać! By wywyższać pokorne i niskie, a w proch giąć pyszne karki i otyłe serca!

Kocham was dzwony rezurekcyjne, w przedświt świąteczny bijące...

Bo z serca mego wykrzesacie tę wiarę żywą, która w piaszczyste, pylne drogi życia czasem przygasa i płowieje...

I wierzę znów, iż zakróluje umęczona Sprawiedliwość.

Że z grobu dźwignie się podeptana Miłość;

Że nie ginie żadna Ofiara i żadne Poświęcenie, choć wyszydzone, choć pognębione, choć zapomniane...

I że — wbrew rachubom i wyrafinowanym kalkulacjom czcicieli opancerzonej pięści i złotego cielca, wbrew buntom pychy i szałom zmysłu, z zapomnianych cmentarzy męczenników Ideału — wypromieniuje kiedyś Królestwo Boże!

* * *

I jeszcze was kocham rezurekcyjne dzwony, bo mię hymn wasz spiżowy uczy prawd wielkich i wzniosłych.

Już nie patrzę w głąb twoją, grobie, z oczyma zamglonemi mrokiem... Oczy

me przeszywają twą ciemność, że widzę jasno tamtą stronę. A serce, choć drży, jak dziecko na wąskiej kładce, rzuconej przez czeluście, wyrywa się naprzód... Bo poza tą ciemną zasłoną czuje rozwarte ramiona Zmartwychwstałego i mojej braci najmilszej, która mię już odeszła...

O, boś zwyciężona jest śmierci! Szkielet twój nagi to próg ku życiu, a życiu w Bogu moim.

I patrzę śmiało w oczy tobie dostojna Boleści, co chadzasz w aureoli Krwi Przenajświętszej i siadasz w cieniu krzyża. Albowiem wiem, iż ponad przejściowe dostojeństwo twoje, jest wiekuiste dostojeństwo Radości przy Sercu Boga! I że krzyż z mej Golgoty przemieni się kiedyś na złoty krzyż mojej Królewskiej Korony...

Zda się, słyszę z niebieskiej oddali słowa wielkiego Apostoła: „a jeśliście współcierpieli tedy i współkrólować będziecie".

O miłuję was, dzwony, rezurekcyjne dzwony!

Przy dźwięku waszym dusza się we mnie rozpręża i wyjaśnia. Moc mię dziwna ogarnia i radość, przy której serce omdlewa, a oczy pełnią się łzami...

I gdy idę w procesji, niesiony falą ludu rozśpiewanego, zapatrzonego w ranny błękit kwietniowego dnia, zatopionego w pieśń, przejętego i pełnego, zda się, Boga — dreszcz mną idzie dziwny i gardło ściska się szlochem...

I zdaje mi się, że oto przeminęły już cierpienia wszelkie i walki i znoje i grób i świat cały...

Idziemy wielką procesją, której na imię Ludzkość...

Idziemy już zwycięzcy z palmami w rękach...

Idziemy w rozwarte wierzeje niebieskie, w objęcia dobrego Boga.

Gra nam wciąż spiżowy, anielski hymn dzwonów:

„Wesoły nam dziś dzień nastał
Którego z nas każdy żądał..."

Alleluja! Alleluja! Alleluja!

Jan Art.

HOŁD PRUSKI.

(W CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ 1525—1925).

Polska zmagała się od początku swego istnienia z potęgą niemiecką, wzmocnioną w XIII wieku Zakonem Krzyżackim. Ustępując przed nią rozpostarła się ku wschodowi i zawarłszy związek z Litwą, również przez Krzyżaków zagrożoną, stanęła wałem w pochodzie germańskim na wschód. Stąd rozprawa na śmierć i życie tych dwóch światów, germańskiego i polsko-litewskiego, stała się nieuniknioną. Przyszło do niej na polach Grunwaldu i Tannenbergu i tu załamał się rozpęd niemiecki. Zakon rozgromiony nie podniósł się więcej i po latach kilkudziesięciu stracił swój byt niezależny. Z potężnego państwa zakonnego ostały się Prusy Wschodnie, jako lenno Polski, a mistrz-lennik miał obowiązek składać zeń hołd królowi polskiemu, jako swemu zwierzchnikowi (pokój toruński w r. 1466). Wiarołomny jednak



Jan Matejko: Hołd Pruski.

Krzyżak, choć zdeptany, podnosił głowę, ilekroć razy mógł. Za Zygmunta Starego łączył się nawet z wrogami Polski, schizmatycką Moskwą. Gdy nowy mistrz od r. 1510, Albrecht, siostrzeniec Zygmunta, poszedł drogą poprzedników i odmawiał wujowi hołdu, przypomniały mu wojska polskie obowiązek, w zwycięskim pochodzie dotarłszy do bram Królewca. Pokonany mistrz ukorzył się, prosił o zawieszenie broni, a następnie o pozwolenie na sekularyzację Prus. Zygmunt przyzwolił i na rozejm i na zrzucenie przez Albrechta habitu zakonnego, przyjęcie luteranizmu i ogłoszenie się dziedzicznym księciem Prus pod zwierzchnictwem Polski. 8 kwietnia 1525 roku złożył Albrecht uroczysty hołd królowi polskiemu na Rynku krakowskim.

Różnie oceniali już współcześni sekularyzację Prus. Jedni obawiali się wojny z cesarzem, ponieważ mistrz był księciem Rzeszy niemieckiej; to znowu mieli skrupuły co do strony religijnej tego aktu; przyczem chodziło im o to, co powie papież i cały świat chrześcijański; lub wreszcie nie wierzyli w wierność dla Polski tego, który nie dotrzymał ślubu i przysięgi samemu Bogu! Ale inni podzielali decyzję większości senatu i króla z dwóch względów: 1) bo usuwała znienawidzony Zakon, nie mający już racji bytu pośród państw chrześcijańskich,

2) bo Polska zatrzymywała prawnie lenno pruskie, którego zająć i wcielić do siebie nie mogła bez dalszej wojny, niepożądanej, między innemi, z powodu niebezpieczeństwa tureckiego dla chrześcijaństwa.

Ale i potomni różnili się w sądach o tem doniosłem wydarzeniu dziejowem. Jedni historycy potępili Zygmunta za to, że zamiast usunąć Albrechta zostawił go na księstwie, odwlekając jego połączenie z Polską. Byli i tacy, co późniejszy niepomyślny obrót sprawy pruskiej (w XVII w.) policzyli na rachunek Zygmunta. Drudzy jednak, oceniając ówczesne położenie, rozgrzeszyli króla lub wprost nazwali sukcesem sekularyzację, która lennika pruskiego, obarczonego banicją cesarza, wiązała silniej, niż dotąd z Polską.

Tak czy owak sądząc, jedno pewna: że Zygmunt sprawę pruską załatwił z honorem. Jedynym skrupułem dla Zygmunta i Polski mogła być strona religijna sprawy, który starał się usunąć opiekę nad katolicyzmem w księstwie pruskiem; zresztą nikt wówczas nie spodziewał się, że nauka Lutra rozbije jedność kościoła. Sam zaś akt hołdu dumnego krzyżaka przed królem polskim na Rynku krakowskim był starciem pychy niemieckiej i zwycięstwem prawa i sprawiedliwości nad bezprawiem. Obok więc materjalnego znaczenia, pozostanie hołd na zawsze



Jan Matejko: Zygmunt I.
(Fragment Hołdu Pruskiego).

symbolem moralnego także zwycięstwa i moralnej wyższości Polski nad wiarołomną Germanją.

Dr. Władysław Bogatyński.

ZARYS ROZWOJU CHEMJI.

Dziwnie mroczne mamy naogół pojęcie o chemji, nauce zawsze, a nie mniej i teraz w szkołach bardzo po macoszemu traktowanej. Kiedy słyszymy wyraz „chemja“ w umyśle naszym powstają obrazy eksplozji, trucizn, no i barwików, pozatem chemją zajmujemy się mało, zostawiając ją w zupełności specjalistom. A jednak jest to wiedza twórcza, niemal decydująca o losach ludzkości, pełna czarujących zagadnień o szerokich horyzontach, cudów przyrody, na pozór martwej. W chemji mamy do czynienia ze zjawiskami, przy których materja ciała zmienia się i, jako taka, chemja początek wzięła w chwili, kiedy się na świecie zjawiła pierwsza komórka organiczna, kiedy różne twory przyrody stanęły obok siebie, kiedy zaczęły na siebie oddziaływać. I trzeba było ręki człowieka, jego umysłu, by jął za ster owych zjawisk, by zaczął niemi świadomie kierować i zaprzągł do swojej służby.

Chemja tem się różni od innych umiejętności, że cel jej zmienia się z biegiem czasu. Raz jest sztuką obrabiania metali, to znowu otrzymywania złota z nieszlachetnych kruszców, innym razem ona stara się tłomaczyć choroby i leczyć je, to znowu, wytwarzając rzeczy zbytkowne, służy do zaspokajania kaprysów człowieka. W dziejach rozwoju chemji rozróżnić można następujące okresy:

I. Chemja u ludów starożytnych do IV w. po Chr.

II. Okres alchemji IV—XVI w. po Chr.

III. Okres jatrochemji XVI—XVIII w. po Chr.

IV. Okres teorji flogistonowej.

V. Czasy Lavoisier'a.

VI. Czasy rozwoju chemji związków węgla.

VII. Czasy najnowsze. Odkrycie pierwiastków promieniotwórczych.

Okres I.

Chemja u ludów starożytnych.

Pierwszem, przez człowieka wywołanem świadomie zjawiskiem, był ogień, ten potężnie dotąd działający czynnik cywilizacji. Zjawisko tak ważne, że znany mit grecki zaznacza mu boski początek. Możliwą i prawdopodobną jest rzeczą, że piorun spowodował pożar pierwotnych lasów.

Człowiek poznał rychło dobrodziejstwo ognia i czcią boską otaczał (Westalki w Rzymie, Znicz na Litwie). Do dzisiejszego dnia sobótki, czy wianki, początek swój mieć muszą w owej chwili. Epoka „kamienna“ świadczy tylko o mechanicznej obróbce minerałów. Epoki „bronzowa“ i „żelazna“ i mówią, że człowiek, rozglądając się po ziemi, musiał sięgnąć po dalsze jej skarby, natknąć się na rudy i wydobywać z nich czyste kruszce, służące do wyrobu narzędzi, czy też przedmiotów ozdoby (Iljada, Odyssea). Wiadomości chemiczne mają znaczenie tradycji, gdyż chemja była przywilejem pewnych klas, zazdrośnie kryjących przed okiem ogółu swoje wiadomości. Pomniki i wykopaliska świadczą, że starożytni umieli nawet lepiej od nas przeprowadzać technicznie pewne procesy, wszelako nie zdając najczęściej sobie sprawy z ich przebiegu. Ilość znanych metali aż do IV w. po Chr. nie przekraczała 7: złoto, srebro, miedź, żelazo, ołów, cyna, rtęć, wreszcie stopy, jak: bronz i mosiądz.

Niewątpliwie najpierw musieli znać starożytni złoto, które występuje w stanie rodzimym, a wykruszenie czy oddzielenie go z podłoża czy środowiska nie przedstawia zbyt wielkich trudności. Podanie mówi nam o „okresie złotym“, w którym ludzie, podobni do mitycznego króla Midasa, posiadającego dar (od

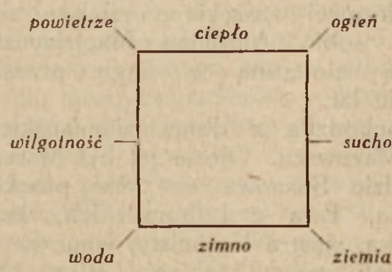
Haliosa) przemieniania wszystkiego, czego dotknął — w złoto, musieli być ogromnie biedni. Midas na swoje prośby został uwolniony od niezwykłego daru, ale los jego nie stał się przestrogą dla ludzi, marzących o powrocie „złotego okresu“.

Wojna światowa dowiodła niedwuznacznie prawdy Midasowej. — Kraje, które stały się ujściem dla złota państw walczących, na równi z niemi cierpiały biedę, bo złoto nie zaspokoi potrzeb człowieka, nie odda mu, ani w części usług, jakie naprzykład oddaje żelazo. Nie pomogły Midasowe „ośle uszy“ — nie oduczyły świata mrzonek o zamianie wszystkiego na złoto.

Żelazo rodzime nie występuje na naszej kuli ziemskiej, obdarzają nas niem inne światy, sypiąc meteoryty, znane widocznie starożytnym, skoro Egipcjanie zwali żelazo „baacuepe“ = pochodzące z nieba, greckie σίδηρος to samo oznacza. O sposobie otrzymywania metali i ich obróbce nie wiemy nic, znały ją wszystkie starożytne narody i napróżno sililibyśmy się, poszukując poszczególnych odkrywców. Z pochodnych metali umiano otrzymywać produkty ich spalenia w powietrzu, prażenia z siarką lub działania na nie octem. Korzystano z nich bądź w lecznictwie, bądź też w kosmetyce. — Biel ołowianą stosowały kobiety rzymskie, jako bielidło zamiast ryżu, cynobrem zaś krasiły swoje usta. Czemże jest tych parę ciał w porównaniu z nieograniczoną wprost liczbą połączeń, które dziś jesteśmy w stanie każdej chwili stwarzać w pracowniach?

O chemji, jako nauce, u starożytnych mowy być nie może, traktowano ją jako rzemiosło, a dumny grek, filozof, gardząc rzemiosłem, chemją się wcale nie interesował. Wynalazki były tylko dziełem przypadku. Pisarze starożytni, jak Pliniusz starszy, opowiadają o nich w sposób anegdotyczny, jak n. p. otrzymywanie szkła (z piasku rzeki Belu i sody) barwika purpurowego i t. d. Kapłani egipscy doszli do zdumiewających rezultatów, które okrywali tajemnicą cudów lub czarów, stanowiących dla nich intratny interes. Jak wielką doniosłość musiano przypisywać chemicznym wynalazkom dowodzi fakt, iż historycy notują, który król usiłował naturalną barwę niebieską naśladować sztucznie.

Młodzi grecy, jeżdżąc po naukę do Egiptu, przywozili do kraju okruchy wiedzy kapłańskiej, która razem z cywilizacją grecką przedostała się do Rzymu. Wszelkie badania chemiczne pozostawały własnością filozofów, w imię zasady starożytnych uczonych, że myśl musi stwarzać prawa, a przyroda — do nich się stosować. Dziwny wyjątek na owe czasy stanowi Demokryt z Abdery w V w. przed Chr. Pozostawił on po sobie dzieło pisane χειρόκμητα o wybitnie praktycznym kierunku — musiał się więc zajmować eksperymentami. Pierwszą myśl o istnieniu pierwiastków, jakkolwiek nie w dzisiejszem znaczeniu, rzucił Arystoteles ur. w Stagirze 384 r. a zmarły 322 r. przed Chr. — Wpływ jego był tak wielki, że trzymał, rzec można, na uwięzi swoich dzieł wiedzę przyrodniczą, aż do wieków średnich. Arystoteles wierzył w istnienie 4-ch pierwiastków (elementów), które pojmował, jako pewne własności i nazywał żywiołami: ciepło, zimno, sucho, wilgotno. Ich wzajemne oddziaływanie na siebie daje początek wszelkim możliwym ciałom i zjawiskom.



I tak n. p., kiedy jest ciepło i wilgotno, paruje woda i zamienia się w niewidzialną parę = gaz t. j. „powietrze“, kiedy zaś sucho i zimno tasama woda przechodzi w lód, powstaje ciało stałe = „ziemia“ i t. d. Umysł Arystotelesa spotykał zbyt wiele zjawisk nie podporządkowujących się pod jego teorję, z niemi załatwił się filozoficznie, stwarzając myślowo piąty pierwiastek „quinta essentia“ — przyczynę wszystkiego niewytłomaczalnego. Arystoteles musiał uważnie przyglądać się temu, co się wokoło niego działo, skoro wiedział, że morską wodę można przefiltrować i uczynić ją zdatną do picia, wiedział dlaczego na morzu mogą się trzymać większe statki niż na rzece, że szybkość parowania zwiększa się z rozciągłością powierzchni, ale były to wszystko fakty przypadkowo zauważone. Że grecy poszukiwali jakichś najpierwotniejszych składników ciał, dowodzi chociażby i ten fakt, że Tales z Miletu (600 l. przed Chr.) wodę nazywał „pramaterją“, Anaximenes (557 l. przed Chr.) uważał za tosamo powietrze, a Heraklit (500 l. przed Chr.) ogień, Teofrast (ur. 371 r. przed Chr. na Lesbos † 286 w Atenach) uczeń Platona i Arystotelesa napisał pierwszą mineralogję „περὶ λίων“ mówi w niej o węglu, cynobrze, siarczku arsenu, podaje sposoby otrzymywania bieli ołowianej, minji i t. d.

Dioskor w połowie I-go w. po Chr. z Małej Azji, towarzyszył licznym wyprawom wojsk rzymskich, w swojem dziele lekarskiem „περὶ ὕλης ἰατρικῆς“ mówi o różnych preparatach chemicznych, o sposobie ich otrzymywania, co pozwala domyślać się, że nie obce mu były nawet przyrządy.

Gajus Pliniusz starszy (23—79 po Chr.), który postradał życie przy wybuchu Wezuwjusza, w swojej „Historja naturalis“ w 37 księgach podaje wiele ciekawych wiadomości o stanie ówczesnej wiedzy chemicznej.

Ze związków organicznych znali Rzymianie ocet, posługiwali się mydłem, sprowadzanem przeważnie z Germanji. Tensam Pliniusz wspomina, że żywicę ogrzewali w garczku zatkanym wełną, a zgęszczająca się para dawała terpentynę. Nazwę metalu wywodzi od μετ᾽ ἄλλα: po sobie następujący, a więc ciała złożone.

(C. d. n.). *M. Aa.*

ANTONINA MACHCZYŃSKA

(* 1836 † 1919).

W rzędzie wielkich Polek doby porozbiorowej zaszczytne miejsce zdobyła sobie Antonina Machczyńska, pracą społeczną w ciągu przeszło 60-ciu lat.

Pochodziła z domu ziemiańskiego na Mazowszu. Ojcem jej był Marceli, dziedzic Sosnowa w ziemi płockiej, matką, Ewa z Luboradzkich, kujawianka, siostra legjonisty, wnuczka po kądzieli gen. Tańskiego. W r. 1830 Machczyński własnym kosztem ekwipuje oddział gwardji płockiej, żona zaś otwiera w domu szpital dla rannych, kuchnię dla głodnych i szwalnię dla ubogich. Po powstaniu opiekuje się więźniami, zamkniętymi u Karmelitów w Warszawie, pośród których znajdował się autor „Kirgiza“, Gustaw Zieliński; spieszy też z pomocą wywiezionym na Sybir rodakom. Z licznego potomstwa synowie zajęli wy-

bitne stanowiska w społeczeństwie, a jedna z córek wyszła za mąż za Wojciecha Cybulskiego, znakomitego krytyka i uczonego, prof. literatur słowiańskich w Wrocławiu.

W takiej atmosferze cnót chrześcijańskich i miłości ojczyzny wzrosła Antonina, otrzymawszy staranne wykształcenie w domu i na pensji w Warszawie. Do nauczycieli jej należał, „przyjaciel polskich dzieci“, Stanisław Jachowicz. On to już, poznawszy wielkie zdolności młodej pensjonarki, przepowiedział jej przyszłość w słowach: „Panna masz talent, panna będziesz autorką“. I rzeczywiście już w r. 1856 ukazało się w Warszawie pierwsze dziełko Machczyńskiej p. t.: „Szkółka wiejska“. Młodociana, bo zaledwie 20 lat wówczas licząca autorka, odczuwając głęboko niedolę ludu wiejskiego i potrzebę podniesienia go przez oświatę, zabrała głos, który, silnem echem rozbrzmiał po Polsce i dotarł nawet do ziomków na emigracji, budząc wszędzie słuszne refleksje i interes dla ludu, a dla autorki jednając pochwały i uznanie. Nie szczędził ich książę Adam Czartoryski, ks. Aleksander Jełowicki, a Lelewel napisał pochlebną recenzję do „Czasu“, która jednak uległa konfiskacie. Ze „Szkółką wiejską“ rozpoczęła Machczyńska ożywioną działalność społeczną i pedagogiczną, która wypełniła jej życie. Przysposobił ją do tej pracy dom rodzicielski i szkoła, zaprawiły dzieła Hofmanowej i Lelewela.

Po „Szkółce wiejskiej“, prócz współpracownictwa w różnych czasopismach, napisała książkę dla ludu p. t.: „Kilka obrazków, kilka nauk przed wiejską chatą“. Nim ją wydała księgarnia Gebethnera i Wolffa, wyjechała młoda autorka do Paryża w r. 1860. Tutaj jest sekretarką Ks. Adama Czartoryskiego i nauczycielką języka i literatury polskiej w Instytucie dla panien polskich w hotelu Lambert i obraca się wśród najwybitniejszych przedstawicieli naszej Wielkiej Emigracji, do której zaliczali się: Henryk Dembiński,



gen. Chrzanowski, Władysław Zamoyski, Barzykowski, Teodor Morawski, Andrzej Koźmian, ks. Al. Jełowicki, ks. Hier. Kajsiewicz i inni, codzienni goście ks. Czartoryskiego. Jako sekretarka pomaga mu w porządkowaniu dawnych papierów, w przeglądaniu dzieł i pism jego, których nowe przygotowywał wydanie. Pod dyktandem księcia pisze poprawki i uzupełnienia, pamiętniki i dodatkowy rozdział o kongresie wiedeńskim do pracy p. t.: „Essaye sur la Diplomatie“. Na tem

stanowisku przebyła do śmierci księcia, przy której była obecną († 15 VI 1861). W Paryżu napisała Machczyńska „Złotą księgę“ dla ludu, wydaną raz we Lwowie, drugi raz w Poznaniu i kończy, zaczęte jeszcze w Warszawie, dziełko pedagogiczne p. t.: „Młoda nauczycielka“, wydane w Poznaniu w r. 1863. Składa się ono z dwóch części, z których pierwsza przedstawia ideał nauczycielki, druga — organizację wzorowej pensji. Zasługę, jaką tą pracą położyła, ocenił najlepiej Piotr Chmielowski, przyrównując ją do zasług Hofmanowej.

Po siedmioletnim pobycie w Paryżu przybyła Machczyńska do Galicji i osiadła na stałe we Lwowie. Odtąd rozpoczął się nowy okres jej działalności, bo w innej dzielnicy Polski, wśród nowych warunków i stosunków. Właśnie wtedy organizowano w Galicji szkolnictwo. Machczyńska, oceniwszy doniosłość chwili, zakrzątnęła się żywo, by zdobyć dla kobiet zakłady naukowe, w których mogłyby się kształcić na krzewicielki oświaty ludowej. Występuje więc z dwoma artykułami „O wychowaniu żeńskiem“ i „O usiłowaniach prywatnych dla oświaty ludowej“, przedstawia potrzebę seminarjów żeńskich ówczesnemu namiestnikowi, hr. Gołuchowskiemu, inspektorowi szkolnemu i referentowi, Czerkawskiemu, szuka poparcia swych zabiegów u rektora akademji krakowskiej, Majera, rozbudza zainteresowanie dla sprawy i cel osiąga. W kraju powstają trzy seminarja żeńskie; w pierwszem z nich, lwowskiem, otwartem w r. 1871 obejmuje sama inicjatorka stanowisko nauczycielki głównej. Na niem, pracuje niestrudzenie, nie zaniedbując równocześnie pióra. W r. 1883 wydaje nakładem Macierzy lwowskiej „Opowiadania dla ludu“, umieszcza szereg artykułów w różnych czasopismach. Idąc z duchem czasu i nowemi potrzebami, rzuca Machczyńska w r. 1887 w „Muzeum“ projekt stworzenia wyższych kursów dla kobiet w miejsce wykładów Tow. pedagogicznego. Głos ten, jeden z pierwszych, wskazujących na potrzebę wyższego wykształcenia kobiet, narazie przebrzmiał bez skutku i dopiero w r. 1894, podniesiony ponownie przez Machczyńską na pierwszym kongresie pedagogów polskich, tak podziałał skutecznie, że zaczęto zakładać we Lwowie i w Krakowie licea i gimnazja żeńskie.

Okazała się też Machczyńska znakomitą organizatorką pracy społecznej. Z jej inicjatywy i za jej staraniem powstał we Lwowie szereg poważnych instytucyj, z pośród których Związek Koleżeński b. seminarzystek i nauczycielek, Internat dla ubogich uczenic seminarjum, Kobiece Tow. Oszczędności, Tow. pracy kobiet itp., świadczą chlubnie o działalności Machczyńskiej.

W ciągu tej pracy organizatorskiej nie wypuszczała pióra z ręki, które służyło jej do szerzenia swych idei lub dawało wyraz uczuciom, rodzącym się pod wpływem bieżących wypadków. W r. 1894 pisze na wystawę lwowską: „Rzut oka na literaturę pedagogiczną i ludową kobiecego pióra“, w r. 1899: „O życiu i pismach Klementyny z Tańskich Hofmanowej“, w r. 1909: „Pobudkę“ dla dorastającej młodzieży, w której zebrała wiele wspomnień osobistych w formie zwięzłych, a zajmujących opowiadań, budujących miłością ojczyzny i przeszłości, w r. 1912 na wystawę praską posłała studjum p. t.: „Kobieta polska“, informujące o zasługach i znaczeniu kobiety polskiej w dziejach naszych aż po czasy najnowsze. Próbowała też Machczyńska sił swoich w poezji i napisała kilka utworów poetycznych z okazji Wrześni („Katom“), zgonu

Leona XIII, pojawienia się „Legendy“ Niemojewskiego („Zetrzegłowęwęża.. “) itp. Przed wybuchem wojny światowej kierowała we Lwowie „Switem“, czasopismem dla kobiet pracujących.

Fala wojny przyniosła Machczyńską do grodu wawelskiego. Mimo podeszłego wieku, niezłamana przeciwnościami życia, jęła się i tutaj pracy, organizując „Bursę przemysłową panien polskich m. Krakowa dla dziewcząt — sierót po poległych i ofiarach wojny“, której zadaniem jest przygotować z czasem liczne zastępy religijne, narodowo i zawodowo uświadomionych pracownic dla przemysłu krajowego.

Oto krótki przegląd prac tej zbożnej działaczki, która nie znała, co to kastowość i każdy, kto pracował dla dobra ojczyzny, był jej bliski i drogi.

Za to doczekała nagrody, którą poczytała za najwyższą tu, na ziemi — Zmartwychwstanie Ojczyzny. To też na tydzień przed śmiercią płomiennie ją witała w formie poetycznej:

Lat ośmdziesiąt czekałam na Ciebie
I nie zwątpiłam, że przyjdziesz po
[chwili,
Że Twoja postać jak gwiazda na
[niebie
Z jasnych się niebios wychyli...

A choć czas zbawczy nie rączo
[pospiesza
Czekałam ciągle z wiarą niezmąconą,
Za to — szczęśliwsza może od
[Mojżesza
Ujrzałam Polskę wolną, zjednoczoną [1]).

Dr. Władysław Bogatyński.

SŁÓW KILKA

z powodu książki **Józefa Jankowskiego „Eugenja“**, (Warszawa 1925).

Zziew górnokreślnych rozwag, przedziw budząc oznajmianiem przyrodnych polecań, duszograniem nieprawoczynnem osmuca w niebo poryw tajni zapartych.

Oto łekkie omówienie polskiego stylu teozoficznego, który tem się chyba zaleca, że jest niezrozumiały i dlatego mniej szkodliwy niż bałamuctwa tego systemu.

Nie chciejmy mętów poczytywać za głębie, ani pasożytów za wykwit religji. Nie bierzmy przedewszystkiem teozofji na serjo! Potrafi ona zmieniać barwę zależnie od podłoża, na którem żeruje: czy niem będzie hinduizm czy mahometanizm czy chrześcijaństwo.

Systemy teozoficzne są prawie tak dawne jak religja. Zrodziły się z dążności, by treść cudaczną mitologij pogańskich, które się przeżyły w swej formie popularnej, sprowadzić do pewnej fantastycznej syntezy z cechą ezoteryczną, tj. o ukrytem znaczeniu. Postacie bóstw przeobrażały się na bezcielesne symbole natury, w które można było włożyć treść dowolną, z tendencją zazwyczaj wyzwoleniową i odrodzeniową.

Czy w tem był postęp? Z jednej strony był to przejaw dążności ducha ludzkiego do jedności, lecz z drugiej —

[1]) Są to pierwsze dwie zwrotki dłuższego wiersza.

znamię dekadencji, zasklepienia się w sobie, usiłowania, by zapomocą urojonych formułek, liczb i schematów określić z góry porządek stawania się wszechrzeczy, ich związków, a przedewszystkiem ich wpływu na życie ludzkie. To też z systemami ezoterycznemi szły w parze praktyki tajemne, przez które chciano wydrzeć naturze jej siły ożywcze, wejść w kontakt z twórczemi potęgami przyrody.

Nie tylko pogaństwo uległo temu odurzeniu, lecz i żydowstwo doczekało się swej kabały, a nawet chrześcijaństwo, już w pierwszych wiekach swego istnienia, widziało się opasane siecią niezliczonych systemów gnostyckich, które zapowiadały głębsze rzekomo zrozumienie (gnosis) tajemnic objawionych, lecz w samej rzeczy były tylko echem rojeń neoplatońskich. Te i tym podobne systemy bujały najsilniej w dobie upadku życia religijnego.

W najnowszych czasach wskrzesiła teozofję na gruncie indyjskim Bławacka, a jej duchową spuściznę objęła w naszych czasach p. Berant.

W Europie teozofja indyjska, po różnych niemiłych przejściach, przeobraziła się częściowo w antropozofję, która wcieliła w swój system pierwiastki chrześcijańskie, lecz pod osłoną uroczystych frazesów ewangelicznych przemyca treść tyle mającą wspólnego z religją co czarownik z kapłanem. Któż zabroni czarodziejowi ubrać się w ornat i wplatać w swe zaklęcia modlitwy kościelne?

W Polsce teozofja uznała, że jej będzie do twarzy grymas katolicki.

Miejmy się zatem na baczności. Kto czyta tłomaczenia p. Jankowskiego [1]) i napotyka tam, w pośród ciemnych i bałamutnych zwrotów, podniosłe nawoływania do odrodzenia duchowego, niech wie, że ma do czynienia z plagjatem religijnym, przeszczepionym na grunt nie mający nic wspólnego ani z wiarą objawioną, ani z filozofją.

Wprawdzie p. Jank. zachwycił coś z filozofji Kanta, wynosi pod niebiosa Hoene-Wrońskiego, którego zwie „największym genjuszem świata“, lecz jak te poglądy, zresztą niezgodne z religją objawioną, sprzęgły się w nim z teozofją, trudno dociec. Niewiadomo też jaka będzie dalsza ewolucja jego umysłu; chcemy wierzyć, że idzie ku światłu. Na razie lepiejby było, gdyby tę ewolucję odbywał w cichości i nie bałamucił ludzi dobrej wiary i dobrej woli.

Teozofja w samej rzeczy nie jest niczem innem jak m i s t y k ą p a n t e i s t y c z n ą.

Bóg (absolut) nieosobowy dochodzi do świadomości przez kolejne określanie się jako prawda, dobro i byt.

Drogą emanacji (nie stworzenia) wywodzi z siebie wrzechświat wedle gotowych wzorów i schematów, które znaleźć można w każdym podręczniku teozoficzym (nb. w każdym inaczej). Człowiek to monada świetlista, uwięziona w osłonach materjalnych, mniej lub więcej subtelnych, których kolejno się pozbywając, odradza się ku wyższym sferom, aż wkońcu zleje się z absolutem.

W pochodzie ludzkości ku tym wyżynom zwołują wielkie duchy, które wyzwolone już z uwięzi doczesnej, wskazują nam „drogę żywota“. W miarę potrzeby zjawi się tu Buddha, Mahomet czy Chrystus. Cały ten skomplikowany proces odbywa się w sposób czysto n a t u r a l n y i schematyczny, bardziej nawet kosmologiczny niż psychologiczny. Kiedy teozofja mówi o „nadprzyrodzie“, rozumie wyższe sfery duchowe, objęte jednak ogólnym

[1]) Nie kwestjonujemy jego przekonań osobistych.

procesem kosmicznej ewolucji. Pojęcie łaski, jako daru Bożego, istotnie nadprzyrodzonego, jest obce teozofom.

Modlitwie to przypisują jakieś magiczne (teurgiczne) wpływy i wciągają ją w wir powszechnej ewolucji. Gdyby, dajmy na to, teozofja poczęła nas zachęcać do przyjmowania Sakramentów św., przypisałaby im podobne działanie.

Jednem słowem teozofja wypacza zupełnie dogmaty i symbole chrześcijańskie, nadaje im całkiem odmienne znaczenie niż kościół. To też kongregacja S. Officii odpowiedzią z 18 lipca 1919 stanowczo potępiła te doktryny, zakazała uczestniczyć w zebraniach teozofów i czytywać ich pisma.

Kto chce w sobie pogłębić znajomość prawd wiary, poznać architektonikę dogmatu, wniknąć w tajniki życia chrześcijańskiego, ma obficie skąd czerpać. Niech się nie udaje do kramarzy sprzedających towar kradziony i fałszowany.

Ks. Marjan Morawski T. J.

WRÓŻKA.

„La plénitude enorme, c'est le vide au fond". *V. Hugo.*

„Małe ziarnko piasku można zrobić światem".

Są ludzie, co nie wierzą we wróżki. Ani we wróżki, ani w duchy, ani w krasnoludki, ani w żadną rzecz tęczową, której palcami grubemi nie dotknąć. Są ludzie, co z otwartemi oczyma przez całe życie przejdą i nie zobaczą żadnego z dziwów, których świat ten pełen. — Więc też nie dziwota, że wzruszają ramionami, gdy im opowiadać, że w lesie o zmierzchu tańczą przeźroczystemi stopkami maleńkie chochliki; że w cieniu drzew nadbrzeżnych wodnice rozczesują zielonawe włosy; że dziwożony kryją krasne swe czapeczki w leśnej głębi uroczyska; że w każdym, ale to napewno każdym, dobrym domu mieszka pod progiem dobry krasnoludek, podciepkiem zazwyczaj zwany — co obejścia od ognia strzeże, snu dzieci od zmory, a na masło i miód zwłaszcza ogromnie jest łasy; że duchy się żalą po rozstajnych drogach, gdzie stoją sosny i krzyże samotne; że są mogiły, gdzie życie budzi się o zmroku i zardzewiałe, prastare zbroje kołaczą; że zakopane, źle zdobyte skarby, płoną o północy blaskiem drzewa spróchniałego; że południce czar rzucają na leniwego żniwiarza; że są źródliska, w których dzwony zatopione grają — stare domowstwa, gdzie dziwy się dzieją na nowiu i wiele, wiele innych jeszcze cudów, cudów i czarów przedziwnych.

Lecz to są ludzie, którym się nawet nigdy nic nocą nie przyśni — więc skądże mogliby wiedzieć o tem, o czem my wszyscy wiemy doskonale, prawda?

Ja wierzę w duchy i w podciepki, w sny i dziwożony, we wszystkie dziwy i we wszystkie baśnie — to też nie dziwiłam się, wcale a wcale, kiedy wczoraj, o zachodzie, z ostatnim i najzłocistszym promieniem słonecznym, zeszła do mojego pokoju wróżka, świetlna i prawdziwa.

Jak wyglądała, pytacie? No, tak przecież, jak wróżka powinna wyglądać. To jasne. Była rodzoną siostrą wszystkich dobrych wróżek z bajek,

opowiadanych długim wieczorem przez niańki i do tych drobnych postaci przy kominkowym ogniu wywoływanych podobną. — Pamiętacie wróżkę, co płynęła przez przestworza, na płatku róży, zaprzężonym w dwa motyle? lub tę drugą, którą otaczał cały rój błękitnych łątek? Tamtą, co nosiła na głowie wieniec z jaskółek, albo tę, co się chowała w pół otwartej lilji wodnej? Do nich wszystkich podobną była jasna wróżka, co wczoraj zeszła przed zmierzchem.

— Moje dziecko — powiedziała — wybierz sobie dwa życzenia, a odrazu je spełnię. Dawno, ach, jak dawno, chodzę już po świecie między wami, umiłowane wy moje dziewczęta, wy wróżki i kwiaty tej ziemi, wy, światełka doli ludzkiej... Tak dawno, że się strudził promień złoty, co mnie nosi i zdarłam na strzępy trzy pary pantofelków z motylich skrzydełek. Rozdałam już trzydzieści kurek złotonośnych, i moc rybek z łuską złotą, i kosze róż śpiewających, i korce pereł dzwoniących, pięćdziesiąt czapek-niewidek i sto cudownych pierścieni — i żadnym z tych darów nie przysłużyłam się żadnej dziewczynie. Czasy się zmieniły i dzisiejsze kobiety śmieją się z mego lubczyku i czarodziejskich widełek. — Więc zamiast wam roznosić te cacka nietrwałe, które elfy dla nas rzeźbią i malują — daję moim ulubienicom, jaki chcą talent — więc sławę — i jakie chcą stanowisko — więc wybieraj.

— Wróżeczko jasna, motylu złoty, a wolno się zastanowić? Jeśli wolno, to siadaj kochanie, bo to będzie długo, a ja tymczasem pomyślę.

Jakie stanowisko wybrać? Jaki talent?

*

Ach, pewnie malować, jak nie malował jeszcze nikt na ziemi — malować zorzę o wschodzie, słońce za sosnowym borem, głębie wody w cieniu, lilje przy księżycu — duszę z ludzi dna wyciągać i więzić w oczach portretu...

Utrwalić to, co nietrwałe, ziścić to co nieziszczalne, stworzyć to, co nie istnieje, i w kształt przyoblec to wszystko, co myśl zaledwie pojmuje... Tak, ale móc malować białą mgłą i słońcem, a nie grubemi, tłustemi farbami — na smudze światła drgającej, nie na szarem płótnie — nie parodyę oddać wewnętrznego cudu, lecz zwierciadlane odbicie... Czy możesz razem z talentem oddać mi swoją paletę? Tę samą, którą malujesz maki dzisiaj rozwinięte, nieba głębie szafirowe, motyle i kwiaty? — Po oczach twoich widzę jasno, że nie możesz i milczenie twoje, gościu dobry, jest bezsilne...

*

Więc być wielką, sławną, znakomitą autorką? Ale o czem pisać będę? O tem co ludzie uczynili, powiedzieli, lub myśleli, teraz, przed wiekami, przed lat tysiącami, lub co znów kiedyś powiedzą w przyszłości?...

Wszystko to już zostało dawno napisane, bo wszystko już było i to jest doprawdy już ogromnie nudne. Ale mnie naucz języka zwierząt i roślin, i daj moc, niech rozumiem tajemniczą mowę rzeczy przeszłych i umarłych. Niech wiem co myśli stary opuszczony, park przy spalonym dworze, w którym drzewa płaczą żalem nad nieużyteczną swą urodą. Nie chodzi dziś w cieniu ich nikt i dawne to dzieje, kiedy je zasadziły pieczołowite ręce, wyciągając w symetryczne szpalery. Pomarli dawno ci, których data urodzenia, była jedną z datą zasadzenia drzewa. Co przemyślał stary ogród, od tych czasów, aż do chwili, w której z domu zostały się zgliszcza,

a spłoszona, trwożna woda uciekła z krętych kanałów? Kwiaty i liście, które dawniej padały w wodę, by niosła je ku rzece wiązać miłośnie w wiązanki, teraz lecą w suchy szlam i podle butwieją wśród mułu. Mały kamienny wodotrysk przestał wtórować rozdygotanym słowikom. Więc niech wiem, co te drzewa szepczą o burzach, które tędy przeszły i jakie duchy schodzą wieczorem do miejsc umiłowanych, płakać nad brzegiem pustej sadzawki, w której księżyc się już nie przegląda, jak w pustym oczodole.

— Daj mi wróżko, złoty klucz, niech mam mowę ptaków i zwierząt, i duchów — niech znam tajemny sens rzeczy — a pisać będę wtedy historje długie i cudne. — Historje straszne i mocne, piękne, ciche, albo głośne...

Ale nie możesz złotego klucza dać? nie możesz?

— Więc grać i śpiewać naucz ty mnie wróżko; tak grać, żeby wicher szedł po ludziach kłoniąc im głowy, jak kłosy; żeby cisza się jawiła święta, dusze ludzkie drżały niby ptaki w dłoń schwytane, a ci nawet, którzy nigdy nie śnią, aniołów wtedy widzieli. Niech śpiewam, jak śpiewa chórem las jesienią, albo ptak na wiosnę, albo moja własna dusza, gdy jej bardzo radośnie, albo bardzo smutno. Spraw wróżko, bym cała była jedną struną, jak organy śpiewającą, dzwoniącą jak woda, skrzydlatą jak słowik, żeby każde uczucie moje było pieśnią, a każde słowo tonem, co ulata...

— I tego nie możesz dać, wróżko? Można, wróżko?

— A stanowisko jakież ja mam wybrać? Artystki, podróżniczki, a może królowej? Przecież o tem dawniej marzyły dziewczyny... Berło złote, niewolnicy? Ja nie chcę, mnie tego nie trzeba. Każda z nas kobiet wszak jest już królową — im bardziej panującą, tem więcej właśnie poddaną... A cóż więcej chcesz mi dać? Sławę? Och, sławę! Stać w szerokim pustym kręgu — maleńki okaz ciekawy dla maleńkich człowieczków? Dola, jak światła elektryczne jasna i jak one nieprzytulna? Nie, wróżko, ja tego wszystkiego nie chcę od ciebie zupełnie. Nie proszę cię już o talent, o sławę, o długie życie, piękność, ani o bogactwo. Wróżko prześliczna, daj mi tylko szczęście — szczęście i nic więcej... daj mi jedno szczęście.

Spojrzała wróżka wzrokiem jakim się patrzy na dziecko, które gwiazdy z nieba zażąda, lub słońca.

— Jakież mam tobie dać szczęście, dziewczyno? Szczęście, to ogrom bezmierny. Tak samo byś rzekła: daj mi wieczność, wróżko, daj mi ocean, daj mi wszystkie światy! Bo przecież w szczęścia dziedzinie, zaklętej kwiatem paproci, są zarówno zgrzyty bitew i trąby bojowe, jak i ciche pól śpiewania matek nad kołyską. Zarówno tłumy pstrokate, jak zadumy słodkich zmierzchów! To wszystko może być szczęściem, i jam ci je dać gotowa, ale mi powiedz, dziewczyno, jaką ma postać t w o j e w ł a s n e szczęście, i z której fali wielkiego ogromu wychyla się do ciebie jego twarz wyśniona?

— O wróżko, czyż nie wiesz tego lepiej niźli ja? Tyś wróżka, a ja jestem mała i biedna dziewczyna. Być może, że nie umiem nazwać jeszcze mej tęsknoty i pragnąc szczęścia, nie wiem gdzie ręce wyciągnąć... Ty musisz wiedzieć, duchu z kwietnych pyłów...

Spojrzała wróżka smutnemi oczami:

— Nie wiem, dziewczyno, gdzie szczęście, bo nigdy nie żyłam.

— Tak wróżko jasna. Ty nigdy nie żyłaś, a wieczysta młodość zasła-

nia ci Ból, i z Bólem idące Poznanie i Wiedzę. Możesz cuda czynić, a przecież dno twoich jasnych oczu jest jałowe, jak oczu złotych jaskrów lub polnych stokrótek. Ale ja jestem Człowiek, co żyje i cierpi — i powiem tobie, gdzie jest moje szczęście, gdzie jest kobiece i dziewczęce szczęście. Wiem wróżko więcej od ciebie. Wiem, że rzeczy najwznioślejszych trzeba szukać między najpokorniejszymi i że najwyższa wielkość, kryje się nieraz w drobiazgach zdeptanych przez ludzi i małych. Wiem, że lepiej jest człowiekowi ująć do ręki rzecz małą i szarą na pozór — a uczyniwszy ją wielką, odkryć zawarte w niej skarby, niźli sięgając po rzecz głośną i olbrzymią, znaleźć w jej głębi pustkę i zimno dla serca. A szczęście, wróżko, leży w ofiarnem kochaniu — w oddawaniu wszystkiego, nic wzamian nie żądając — w tworzeniu światów szczęśliwych z rzeczy maleńkich i drobnych. Szczęście leży w odkryciu Przedwiecznego Piękna wśród zdarzeń codziennych i sponiewieranych. I dlatego to, wróżko, ja chcę ciebie prosić o szczęście, które ci się wyda zapewne szarem i ciasnem: Nie o szczęście-sławę, nie szczęście-bogactwo, nie szczęście-talent i rozgłośne imię, lecz daj mi szczęście maleńkiej kobiety, matki i żony miłującej, miłowanej — daj mi na własność mały świat rodzinny, skupiony, wierny i ciasny tylko napozór. — A gdy ten okrąg, sercu memu przydzielony, będzie po brzegi pełen czaru i pogody — ja się poczuję wróżką i władczynią — i w tem będzie leżeć moje własne szczęście. — Powiem ci, wróżko, o czem może nie wiesz: Że człowiek, gdy jest jasnością dla wszystkich, których ukochał — to sam się czuje promieniem — i w tem leży szczęście. Gdy jest skarbnicą, do której ktoś włożył całą swą wiarę w duszę człowieczą i miłość — to czuje u swych ramion skrzydła aniołów-strażników — i w tem leży szczęście. — A jeśli wtedy i widzi i czuje, że jest wcieleniem szczęścia dla dusz innych — to czuje się upragnionym i dawno kochanym, najmilszym gościem, co zszedł gdzieś z zaświatów — i w tem leży szczęście. Gdy jest, o wróżko, słodkiem zaprzeczeniem tego, by życie było pustą, bezcelową grą bez treści, to czuję się korną cząstką wykonawczą Wszechwładnej i Wszechwiedzącej, Bożej, Jedynej Mądrości — i w tem leży szczęście ludzkie, wielkie i zupełne.

Więc te dusze, swoje, blizkie, daj mi do kochania, wróżko promienista i dziecinnie dobra.

I niech ci się nie zdaje, że proszę o rzecz niewielką. Czy ty wiesz, wróżko, czem jest dusza ludzka? Czy wiesz, że prosić o duszę, chociażby jedną, na własność, to więcej niż żądać rzucania tam, z góry, stu gwiazd pod nogi, z pomiędzy największych?

— Gdybyś wiedziała wróżko, ty jasny motylu, jakim ogromem bezmiernym jest najmniejsza dusza, ile rzeczy zawiera w sobie najdziwniejszych, ile światów zawiłych, otchłani i szczytów — to przeraziłabyś się mojej prośby i uciekła odemnie, jako od szalonej.

— Ale ty nie wiesz tego, bo masz serce kwiatu, boś nigdy nie żyła, nigdy nie cierpiała, nigdy nie kochała, nigdy nie płakała i wieczysta młodość czyni płytkiem dno twych oczu.

— Już schodzi złoty promień, jasny twój gościniec, już się zasuwa za dalekie bory. Ogląda się niecierpliwie za tęczową swoją panią. Niech nie czeka dłużej, możesz już iść wróżko. Idź szlakiem złotym, zjawo z puchów kwietnych — byś nie słyszała co między sobą szepczą moje myśli. Idź już

dziwny gościu z bajki. Bo moje myśli szepczą między sobą, że choć tyś wróżką, a ja zwyczajną dziewczyną — że choć ty na promieniu wędrujesz po świecie, a ja u okna siedzę i tak często płaczę — przecież mej doli na twoją, jabym zamienić nie chciała.

Pisane tysiąc dziewięćset trzynastego roku.

Zofja Kossak-Szczucka.

ORACZ I ZWIERZĘTA.

BAJECZKA.

Wyszedł na wiosnę człowiek z pługiem swym na rolę,
I krajał pole.
Poruszył pleśń zimową i martwe ugory,
Więc podziemne zwierzęta, w strachu o swe nory,
Lisy, borsuki, krety i szczury
Podniósłszy łebki do góry,
Zaszczekały, zawyły, zapiszczały mocno,
I w porę nocną
Sejmik zwołały na niwie, pod lasem,
W obawie, czy aby czasem
Człowiek przy swej robocie w ich ciemne czeluści,
Promyczka światła nie wpuści?
I nuż kląć go: że chce rej wodzić w przyrodzie,
Że na ziemi i niebie, w powietrzu i wodzie,
Nie chce za nic, do życia, stracić swego prawa,
I że w tych tylko obronie stawa,
Co mu nie szkodzą i nań nie nastają
Żarłoczną zgrają,
Niszczącą plony pracy, zbiory i dobytek,
I, że nie chce rozumieć, jaki z ciemności pożytek!
A gdy tak radzą długo, nadchodzi świtanie,
Budzą się wrony, jastrzębie i kanie;
A usłyszawszy, że wielka podziemna gromada
Już na człowieka różnemi głosami napada,
Łączą swoje „kra-kra“ u góry,
W zgodne chóry.
— „O! dzióbać go należy! O! zgłuszyć krzykami,
— A niech żyją zwierzęta z swemi programami!
— Hau-hau! Skończone człeka panowanie;
— Kra-kra! A teraz dla nas raj nastanie;
— Pi-pi-pii! Mieć będą wety,
Szczury i krety!“

Jeden skowronek, widząc, że człek z jutrznią wstaje,
Znowu za pług ujmuje, znowu skibę kraje,
Spotkawszy jego oczy zwrócone na zorzę,
Zaśpiewał: „Stójmy wiernie przy naszym ugorze,
pomimo wrzasku w górze i w dole głośnego,
każdy u warstatu swego.
A krakania zagłuszy, zgniecie ziemską pleśń
Pług pracy i podniebna pieśń!“

Ludwika Życka.

„MARYJKA“

Powieść dla dorastających panien.

W rodzinnym domu.

Gorący, lipcowy dzień miał się ku końcowi. Słońce rzucało już skośne promienie na ziemię, upał jednak był jeszcze wielki.

Przed domem, na trawniku, bawiło się dwuch ciemnookich i ciemnowłosych chłopaków, starszy ośmioletni i mały pięcioletni braciszek, gonili się zawzięcie dokoła trawnika, na którym kwitły wspaniałe róże. Starszy biegał prędzej i złapałby i prześcignąłby zawsze młodszego, gdyby nie to, że opodal na schodkach ganku siedziała z robotą w ręku niania i u niej malec w krytycznej chwili, gdy już, już łapał go braciszek za sukienkę, znajdował schronienie.

Tulił się chłopczyna do swej opiekunki i patrząc filuternie na brata wołał:

— A widzisz i znowu nie złapałeś.

— O wielka sztuka — mówił tamten — gdy się schowasz do Agaty, ty wcale biegać nie umiesz.

— Umiem, umiem — powtarzał malec — prawda, nianiu, że ja dobrze biegam.

— Ale latasz jak ptaszek — zapewniała niania.

— No to jeszcze raz biegajmy, Jasiu.

— Ale Wituś już do niani nie ucieknie? — pytał Jaś.

A mały tylko głową kiwał, co można było dwojako tłumaczyć i już biegł. —

Dom, przed którym bawili się chłopcy, był niewielki, jednopiętrowy, miał ganek ze słupami owiniętemi w dzikie wino, w ganku stały ławeczki drewniane i roztaczał się widok daleki na okolicę. Widać było ściernisko zżętego żyta, łany kartofli z jednej strony, a z drugiej, poza zieloną łąką, lśniła się wspaniała Dźwina. Jeszcze dalej, po za rzeką wznosiły się mury klasztoru, niegdyś unickiego, obecnie zamienionego w monastyr rosyjskich monaszek, zakonnic, zwanych przez lud, z powodu swego czarnego ubioru, czernicami.

Chłopcy bawili się wesoło pokrzykując, aż im niania przypomnieć musiała, że okna od mamusi pokoju otwarte, a ona leży chora.

— Bawcie się cichutko — upominała.

A w pokoju mamusi panowała cisza

głęboka, półmrok z powodu przysłoniętych okien. Mama była ciężko chorą oddawna, a dziś znowu powtórzył się silny atak sercowy.

— Czy już słońce zaszło? — szepnęła chora.

— Nie, mamusiu — odezwał się dziecinny głosik — jeszcze — dopiero szósta.

— Myślałam, że już znacznie później, a ty, moja dziecino, tak wciąż siedzisz tu przy mnie?

— Mateczko, mnie tu najmilej, chciałabym ani na jedną chwilę nie rozstawać się z tobą.

Matka ciężko westchnęła w odpowiedź na to życzenie dziecka.

Chwilkę panowało milczenie.

— Maryjko — mówiła znowu chora, uchyl zasłonę przy oknie, niech wejdzie trochę powietrza.

— Gdzie są chłopcy?

— Bawią się przed domem, przy Agacie — odrzekła dziewczynka idąc ku oknu.

Mogła mieć najwięcej lat dwanaście, szczupła i drobna, miała jasne, duże warkocze spadające na plecy i czarne głębokie oczy, okolone ciemnemi brwiami, takiemiż rzęsami.

Twarzyczkę miała drobną, dziecinną, ale wyraz jej oczu był poważny i głęboki.

— To dobrze — rzekła matka, teraz chodź tu do mnie, siądź przy łóżku bliziutko, bo mówić głośno nie mogę, a muszę z tobą pomówić.

Maryjka wzięła mały stołeczek i usiadła na nim tuż przy łóżku matki, tak, że ich głowy były na równej linji.

Matka przesunęła wychudłą rękę po jasnej główce dziecka, a ona przytuliła usta do jej dłoni.

— Maryjko — szepnęła chora — czy ty wiesz, że ja niedługo opuszczę was... że umrę.

— Och mamusiu, mamusiu — jęknęła dziewczynka zakrywając rękami twarz — jak ty możesz to mówić!

— Muszę dziecino, muszę ci wszystko powiedzieć, trzeba, byś była mężną i dzielną, bo Polką jesteś i może przez życie pójdziesz sama, trzeba, byś, jak chrześcijanka umiała nieść swój krzyż. Nie płacz, dziecino, nie płacz, odejdę z tej ziemi, ale będę z tobą. Będę nad tobą czuwała, tylko trzeba, by Maryjka mamusię kochała i to, co jej powiem, na zawsze w sercu zachowała. Czy mi to przyrzekasz?

— Och mamusiu, mamusiu, nie umieraj, nie zostawiaj nas samych — prosiła dziewczynka. Wszystko zrobię, co zechcesz, tylko bądź ze mną.

— Bóg dobry pozwoli, że duch mój będzie z tobą, dziewczynko moja — szeptała chora — a teraz posłuchaj. — Byłam bardzo młodą, bo zaledwo miałam siedemnaście lat, gdy wyszłam za mąż za waszego ojca. Sierota, bez ojca i matki, nie rozumiałam nawet tego, że nie wolno iść za mąż za człowieka, należącego do innego narodu i mającego inne wyznanie, niż ja, Polka. Ojciec wasz, jak wiecie o tem, Niemcem jest i ewangielikiem.

— Byłam bardzo młoda i ładna, rodzinny dom mój, był w najbliższym sąsiedztwie, majątku Hansa Frejdena. Krewna, która mi od lat kiku rodziców zastępowała, uszczęśliwiona była tem, że zamożny sąsiad chce się ożenić z ubogą jej kuzynką.

— A przecież mamusia miała Porzecze — zapytała dziewczynka.

— Tak, ale Porzecze było odłużone, a ojca waszego Wilhelmów, duży majątek, nie miał grosza długu i wzorowo był zagospodarzony. Nie poszłam jednak, Maryjko, dla pieniędzy. Nie, ludzi i życia nie znałam, wyszłam za mąż z tem przekonaniem i postanowieniem, że męża mego, który mi wielką miłość okazywał, będę również kochała i dobrą dla niego żoną będę. Nie zastanawiałam się, że dzielić nas będzie narodowość i wiara...

(C. d. n.). *Marja Reutt.*

NA CO PRZYDA SIĘ PORZĄDEK?

Przywiozłam sobie raz ze wsi dziewczynę do obsługi, na imię jej było Magdusia. Dobre to było i życzliwe, ale młode i niedoświadczone, niejedno ją w mieście dziwiło i długo pojąć nie mogła, na co porządek przydać się może. Bo to tam u nich, w małym przysiółku, nie było z tem wielkiego kłopotu. Raz na rok, przed Wielkanocą, matusia obieliła ściany i oczyściła okienka z much i pajęczyny, podłogi nie myło się, bo była z gliny ubita, śmiecie wymiatało się na podwórko, gdzie je kury rozszarpywały, mydliny wylewało się za chałupę, i koniec. A tu pani ma posadzki śliskie i błyszczące, i jeszcze każe je codzień starannie suknem wytrzeć, a kurz ścierać nawet na szafach, choć tam nikt nie widzi.

Długo moja Magdusia markotno patrzała na ścierki, szczotki i miotełki, ale że jej w domu nikt nie buntował, a do ubogiej matusi na wieś nie było po co wracać, więc w końcu przywiązała się do mnie i polubiła swoje zajęcia. Dziś jest żoną zamożnego ślusarza, w jej mieszkanku tak schludno, że aż się błyszczy, a gdy ją pochwalę za ten porządek, to mnie po staremu w rękę całuje i mówi: „to mnie pani tak nauczyła, ale i mój strasznie lubi porządek, i w zgodzie żyjemy, bo jak wróci z roboty, to wszystko ma na czas i na swojem miejscu. I dzieci chowają nam się zdrowo".

W tych prostych słowach Magdusia wyraża wybornie na co przyda się porządek.

Przyczynia on się najprzód do zdrowia, bo przez sumienne zamiatanie i wycieranie podłogi, usuwamy kurz, który jest niezmiernie dla zdrowia szkodliwy. Przez codzienne otwieranie okien i wietrzenie wydalamy z mieszkania zużyte, niezdrowe powietrze, a wprowadzamy świeże, potrzebne naszym płucom.

Ale skądże bierze się w mieszkaniu ten kurz, tak szkodliwy dla zdrowia? Magdusia utrzymywała, że to ze słońca, bo jak słońce świeci do pokoju, to w tych promieniach tańcują odrobinki pyłu. My jednak nie podzielamy jej zdania. Widzimy przecie codzień, jak na ulicy ściera się bruk i asfalt pod naszemi nogami, pod kołami wozów, pod końskiemi kopytami. Jeżdżą wprawdzie beczkowozy, skrapiają ulice, stróż zamiata chodnik przed kamienicą każdego ranka, od czasu do czasu pojawiają się stare babinki, które gościniec zamiatają, ale to wszystko nie wystarcza. Pył z ulicy wciska się do naszych mieszkań wraz z powietrzem, szczelinami drzwi i okien, choćbyśmy ich nigdy nie otwierali. Przez chodzenie ścierają się podłogi i dlatego to w starej podłodze są deski takie sękate i nierówne. Zużywają się nasze ubrania, rozpadają się zwolna dywaniki i koce, a już najwięcej ścieramy podeszwy i obcasy, a z tego wszystkiego tworzy się w mieszkaniu kurz.

Jeśli się szczypcie pyłu przypatrzymy przez szkła powiększające, to ujrzymy szczątki najrozmaitszych przedmiotów. Kawałątko czarnej wełny, obok białej bawełny lub jedwabiu, maleńki szczątek pierza, drobniuchne kruszynki piasku, mąki, żelaza, sporo sadzy, która pochodzi z pieca lub lampy, szczątki owadów — słowem, ile tylko nas przedmiotów otacza, wszystkie odnajdujemy. Zużywa się nawet złoto i srebro klejnotów i twarda stal, bo można nieraz zauważyć, że ostrze noża z roku na rok staje się węższe.

Przez szkło powiększające widać także dokładnie, że pył ma bardzo ostre kanty, i dlatego rozcina on zwolna, ale stale nasze firanki, sprzęty domowe, suknie, kołdry i dywaniki. Toteż im staranniej nasze rzeczy czyścimy z kurzu, tem dłużej trwają.

Pył rozcina też jak nożem nasze płuca, błonę śluzową w gardle, w oskrzelach i oczach, dlatego z kurzu porywa nas kaszel, dlatego dostajemy często kataru nosa, gardła i oczu.

Ale mamy jeszcze innych szkodników w mieszkaniu. Są to mole. Chronią się od nich ludzie, przesypując ubrania naftaliną, pieprzem, lub silnie pachnącemi ziołami, ale to nie wiele pomaga. Najlepiej od czasu do czasu, a zwłaszcza na wiosnę, wszystkie suknie, płaszcze, kołdry, koce i dywany trzepać i czyścić szczotką, bo tym sposobem odczepiają się jajka moli i ich maleńkie gąsieniczki.

Tak, porządek to piękna zaleta! Według angielskiego przysłowia jest nieodłącznym od pobożności.

ZE ŚWIATA.

Śmierć prezydenta Rzeczypospolitej Niemieckiej. Dnia 28 lutego zmarł pierwszy prezydent Rzeczypospolitej niemieckiej Ebert. Należał on do partji socjalistycznej, lecz był to człowiek umiarkowany i okazywał się w czasie swych rządów bezstronnym; wiele walk domowych zażegnał.

Prezydent Ebert pochodził z ubogiej rodziny i w swej młodości był robotnikiem siodlarskim.

Sojusz grecko-jugosłowiański. Na Bałkanie wiecznie wrze. Sojusz grecko-jugosłowiański skierowany jest nietylko przeciwko Turcji, ale też przeciwko Bułgarji, oby nie był on początkiem nowej wojny.

W Turcji azjatyckiej wybuchło powstanie Kurdów. Ruch ten ma charakter religijny. Kurdowie żądają przywrócenia religji mahometańskiej dawnego znaczenia, obecny bowiem władca Turcji Mustapha Kemala zniósł kalifat i prowadzi walkę z religją. Kurdowie grożą oderwaniem się, o ile ich żądania religijne nie zostaną uwzględnione.

Kobiety farmerkami w Afryce. Pisma angielskie nawołują kobiety zdrowe i silne, niezależne do osiedlania się w Afryce, celem prowadzenia gospodarstwa rolnego, tworząc kooperatywy po 5 do 6 kobiet; farmerzy tamtejsi obiecują swą pomoc i podkreślają, że praca na roli dla kobiet jest bardzo odpowiednia.

Międzynarodowa opieka nad cudzoziemkami w Paryżu. Czytamy w The Woman's Leader sprawozdanie z działalności pani Gerdy Koppenburg, Dunki, na terenie więziennictwa w Paryżu. P. Koppenburg jest członkiem międzynarodowego biura opieki nad emigrantkami. Uzyskawszy pozwolenie rządu francuskiego, zwiedza więzienia kobiece. Wiele emigrantek, nie znając języka francuskiego, dostaje się w ręce policji, jako bezdomne włóczęgi. P. Koppenburg udziela tym nieszczęśliwym opieki, a po uzyskaniu ich zwolnień umieszcza je w założonem przez siebie schronisku i zajmuje wyszukaniem zajęcia. W przeciągu ubiegłego miesiąca udało się jej zwolnić z więzienia 13 kobiet: 2 Polki, 2 Belgijki, 2 Włoszki, 2 Szwajcarki, 2 Angielki, 2 Dunki i 1 Węgierkę.

Francuzki nie chcą równouprawnienia. Amerykański miesięcznik The Wordl's Wark wydrukował artykuł Stephane Lausanne pod tytułem: czy kobiety francuskie uzyskają prawo głosu? Autor artykułu odpowiada na to zapytanie przecząco i powołuje się na opinję pani prezydentowej Millerand i Poincaré, Sary Bernard i niedawno zmarłej cesarzowej Eugenji.

P. Lausanne przytacza słowa cesarzowej, że polityka jest okrutna i przynosi tylko kobietom nieszczęście i łzy. P. Poincary twierdzi, że niecierpi polityki, i że hasłom feministycznym hołduje jej mąż, a nie ona, a pani Millerand, zarzucając amerykańskim feministkom brak poszanowania kultury, mówi: „My francuzki mamy za sobą dwadzieścia wieków tradycji i kultury historycznej to nam nie pozwala zerwać tak prędko z wiekowemi zwyczajami i poglądami".

Pomimo jednak tych wywodów autora, kwestja równouprawnienia kobiet i we Francji jest kwestją czasu; przeciwko ogólnemu w świecie całym prądowi nie da się iść. Lecz prawdą też zawsze pozostanie, że najświętszym obowiązkiem kobiety jest przedewszystkiem troska o własne ognisko domowe.

33 Sesja Rady Ligi narodów. Dnia 9 marca rozpoczęło się ogólne zebranie 33 sesji Ligi narodów. Obrady otworzył i przewodniczył Chamberlain.

Rozpatrywano kwestje: Gdańska, sprawę wstąpienia Niemiec do Ligi narodów, spór turecko-grecki.

Prasa szwajcarska poświęca wiele miejsca obradom Ligi narodów i w przychylnym tonie wypowiada się o Polsce; dzienniki szwajcarskie twierdzą, że stanowisko Polski znajdzie wśród wszystkich zrozumienie. Oby słowa te się sprawdziły. *R. Łubieńska.*

CO CZYTAĆ?

Ks. Józef Archutowski, „Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa wobec krytyki współczesnej". (Warszawa, Szczepkowski, 1916). Autor w sposób naukowy rozbiera i odpiera zarzuty, stawiane przeciw dogmatowi Zmartwychwstania Pana Jezusa. Bibliografja na końcu dzieła, jako też liczne odnośniki, wskazujące na poważne źródła tej pracy, ułatwiają czytelnikom rozszerzenie zakresu studjów tego nader ważnego, aktualnego zagadnienia. *N.*

„Narodziny ideału" przez Zdzisława Dębickiego (Lwów-Poznań, 1923), wykazują, iż naród nasz, odzyskawszy niepodległość, zatracił wiele idealizmu, cechującego epokę niewoli, epokę, w której idea niepodległości przyświecała ojcom naszym. Teraz, gdy o „granit rzeczywistości" oparło się zrealizowanie idei odbudowy ojczyzny, niechajże nowe przyświecają ideały, jakim jest konieczny dla rozwoju państwa i społeczeństwa, dobrobyt materjalny, ideał zgody społecznej, a nadewszystko ideał miłości ojczyzny.

Wbrew nowym hasłom zmaterjalizowanej kultury, a zwłaszcza spaczonym ideom komunizmu, siejącym niezgodę i nienawiść, zachęca autor do zjednoczenia się w służbie odrodzonej ojczyzny.

Wytworny styl autora przyczynia się do piękności dzieła. *M. El.*

Henryk Mościcki, „Z filareckiego świata". Zbiór wspomnień z lat 1816—1824. Inst. Wydawn. „Bibliot. Polska" Warsz. Są to pamiętniki kilku filomatów i filaretów: Zana, Massalskiego, Domeyki i innych. Zawierają obrazki z życia młodzieży akademickiej, pełne pogody, zdrowej młodości, pięknych umiłowań wyższego życia moralnego i umysłowego. Cały proces filarecki, więzienia wileńskie, stosunki urzędnicze i prywatne, oddane z prawdą i prostotą. Krótkie wspomnienia o Mickiewiczu są pełne uznania jego wyższości przez kolegów.

Sylwetki profesorów są oddane czasem humorystycznie. Nie pominięto nawet osobistych błędów i wady młodzieży. Z całego tego dokumentu prawdy życiowej wieje duch polski, wierzący i kochający Ojczyznę. W dopiskach jest nawet krytyczny pogląd na Towiańskiego.

Dzieło cenne i warte przeczytania. Zdobią je ładne ilustracje.

Henryk Mościcki, „Pod znakiem Orła i Pogoni“. (Lwów, 1923). Z tej samej epoki autor opracowuje na tle odnalezionych obecnie w Wilnie w archiwum dokumentów, dzieje owoczesnych walk o oświatę i polskość wśród młodzieży filareckiej, oraz dzieje ich procesu. Epoka urodzin literatury romantycznej i całe jej tło, warte studjów, aby uświadomić sobie kolebkę odrodzenia i źródło prawdziwej sławy naszego piśmiennictwa i jego wyższości.

Ludwika Życka.

Wanda Miłoszewska, „Cmentarz i sad“. (Poznań, księgarnia św. Wojciecha). Autorka przedstawia na tle stosunków już powojennych, jak można i trzeba dźwignąć z gruzów, zrujnowaną wojną i rozmaitymi przewrotami, ojczyznę, jak przedewszystkiem podnieść, do życia i czynu zachęcić dusze złamane nieszczęściami; wskazuje, jak tego kobieta dokazać potrafi, jeżeli idzie drogą prawdy i pracy, jeżeli szanując swą godność brzydzi się blagą i flirtem i staje na ślubnym kobiercu z pierwszą, głęboką miłością w sercu, ze zrozumieniem, że wiąże się na całe życie z mężczyzną, którego zna dobrze, którego szanuje dla jego zasad i charakteru. Taka kobieta młoda zdoła z cmentarza zrobić sad w znaczeniu moralnem. Przeciwnie, kobieta goniąca za zbieraniem hołdów, dla której płytkiej duszy, moda i zwyczaje świata i środowiska, w którem się znajdzie są jedynym kodeksem postępowania, staje się nieszczęściem dla najbliższego swego otoczenia i, nosząc pustkę w samolubnem swem sercu, niszczy życie lepsze naokoło siebie, targa lekkomyślnie węzły najświętsze, bo zawierając je, szukała jedynie zadowolenia swoich namiętności, nie zastanawiając się poważnie nad obowiązkami, jakie na siebie bierze.

W formie zajmującej powieści podała autorka czytelnikom i czytelniczkom dwie sylwetki, które pobudzają do poważnej refleksji.

Oby ta powieść zaszczepiała zdrowe myśli w duszach naszych panien i pań, wskazując, jakie bogate kopalnie szczęścia dla drugich i dla siebie można znaleźć w najskromniejszych nawet warunkach życia rodzinnego, gdy się rozumie jego ważność i świętość. *M. Ignacja.*

„Uciekła mi przepióreczka...“, najnowszy utwór sceniczny Żeromskiego polecamy wyłącznie dla dorosłych, ewentualnie dla najstarszych panienek.

Autor przedstawia w postaci Przełęckiego człowieka czynu, działacza społecznego, o nieugiętej woli i wyższym umyśle.

Przełęcki wszczyna wielką akcję oświatową, organizuje kursa wakacyjne dla nauczycieli ludowych. Zastęp wybitnych sił uniwersyteckich niesie młodszym braciom w zawodzie ziarno głębokiej wiedzy i postępowych poglądów. Niestety — akcję całą paraliżuje niefortunne oświadczenie miłości żony nauczyciela (w którego domu uczeni goście gromadzą się), ku inicjatorowi kursów, Przełęckiemu. Człowiek ten, wyrastający ponad zwykłą miarę ludzi ofiarnością i energją, potrafi także ujarzmić uczucia własnego serca. lecz zrywając wszelkie stosunki niedozwolone, zrywa równocześnie z całym zespołem ludzi, których zaprzągnął do pracy, zrywa z zapoczątkowaną akcją społeczną i oświatową, a sam pójdzie gdzieś daleko, w nieznane strony... A idea? — cóż z ideą się stanie? Przekaże ją innemu, który jednak, jak obawiać się należy, nie sprosta wielkiej myśli, której stał się nagle spadkobiercą.

Przełęcki, to potomek Judyma, to jeden więcej z wielkiej rzeszy szlachetnych, tragizmem losu złamanych, jeden więcej z tych, którzy maluczkim podają dłoń bratnią, lecz na równi z rzeszą cierpiących — „bezdomny“.

Żeromski rozświeca w „Przepióreczce“ jasne zorze światła i postępu, lecz mrok pesymizmu zasnuwa ich promienie.

Wartość sceniczna utworu niepoślednia.

M. El.

„Porządki domowe“. (Nakład Bibl. Kórnickiej, 1912). Mała to książeczka, a wiele cennych daje wskazówek. Możemy z niej dowiedzieć się o tem jak sprzątać pokoje, spiżarnie i piwnice — a także, jak przechowywać przez lato futra i wełniane rzeczy, by je uchronić od moli, w jaki sposób prać bieliznę, jedwab, aksamit, koronki, jak wywabiać plamy z atramentu, rdzę, tłuszczu lub owoców — a nawet — jak pakować rzeczy do podróży. *N.*

Jedną z najpiękniejszych książek, jakie w ostatnich czasach wydała literatura francuska jest powieść p. t.:

Ludwika Hémon, „Maria Chapdelaine“. Treść wzięta z życia francuskich kolonistów w Kanadzie. Wspaniale rysuje się tu ciężka walka człowieka z nieubłaganą i twardą przyrodą. Na tle tej walki występują jasno i wyraźnie p stacie bohaterów powieści, wielkie przez swoją prostotę, pogodne i surowe. Z całej książki wieje nieprzeparty czar poezji i melancholji. Nie łatwo zatrze się w pamięci obraz Marji, odmawiającej niestrudzenie różaniec w noc wigilijną, za zaginionego w śnieżnych borach narzeczonego. Istnieje polski przekład tej książki, ale kto może niech przeczyta ją w oryginale,

bo przekład polski jest niedokładny, skrócony, nieudolny, i ginie w nim większa część piękności obrazów i języka.

Drugą bardzo ładną i zajmującą powieścią jest:

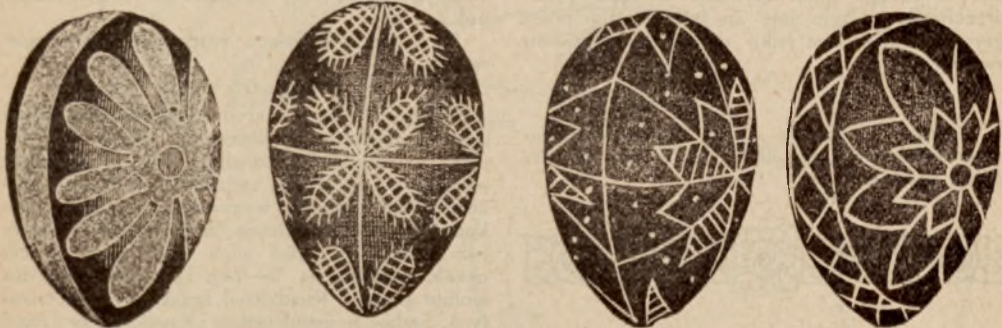
Kessel, „L'equipage". To historja oddziału lotników podczas wojny. Autor przenosi nas w przedziwną atmosferę podniebnych wzlotów i nadpowietrznych walk — i tam nad chmurami rozgrywa się straszny dramat wewnętrzny dwóch przyjaciół — związanych ze sobą na śmierć i życie przez służbę na jednym samolocie, gdy spostrzegają się, że kochają jedną i tę samą kobietę.

Jeżeli ktoś chce się zorjentować w najnowszych prądach bieżącej literatury francuskiej, to bardzo mu w tem będzie pomocną krytyczna książka:

„Erémieux XX siècle", dająca sylwetki i oceny współczesnych pisarzy i dłuższe, bardzo dobre studjum o Marcelim Proust, do którego 14-to tomowej powieści, nie każdy ma odwagę zabrać się, a który jest jednak ciekawym i nowym typem we współczesnej literaturze.

Bessières, „Ames nouvelles", to wzruszająca historja dwóch młodych nauczycieli, ich przejść wewnętrznych i wysiłku życiowego. Napisana lekko i przystępnie, czyta się jak najbardziej zajmującą powieść, a daje obraz panujących nastrojów wśród młodzieży francuskiej i rzuca ciekawe światło na zagadnienia pedagogji, szkolnictwa i etyki.

Zofja Morstinowa.



PISANKI I MALOWANKI.

Znacie zapewne pisanki wielkanocne, ale może nie wiecie, że zwyczaj malowania jaj tak dawno jest znany. W starożytności jeszcze wspomina o nim Owidjusz, Plinjusz, Juvenal, u nas Wincenty Kadłubek, a w XVII w. powstały nawet poważne dzieła tej kwestji poświęcone.

Pobożne legendy zwyczajowi temu przypisują cudowny początek. Według jednych, kolorowe, śliczne pisanki po raz pierwszy ukazały się na świecie w koszyku Szymona Cyrenejczyka, w nagrodę za pomoc udzieloną Panu Jezusowi w dźwiganiu krzyża na Golgotę. — Inni utrzymują, że Marja Magdalena wróciwszy od grobu Zmartwychwstałego Pana Jezusa znalazła w domu czerwone jaja, które na znak prawdziwości słów Zmartwychwstanie Pana głoszących, apostołom pokazywała.

Jakby nie było, pewnem jest, że nasze wiejskie dziewczęta, które ani starożytnych pisarzy, ani Kadłubka nie studjowały, ani też cudownych jaj na oczy nie widziały, sztukę malowania jaj doprowadziły do mistrzowstwa.

Rozróżniamy rozmaite rodzaje malowanych jaj. Farbowane na jeden kolor zwą się malowankami lub kraszonkami. Jeżeli na jednolitem tle kolorowem będzie wyskrobany rysunek biały — to jajko zwać się będzie **skrobanką** lub **rysowanką**. Ozdobione różnokolorowym deseniem nazywa się **pisanką**, sposób malowania — pisaniem. Sztuka ta jest dość skomplikowaną, polega na nakładaniu woskiem tych miejsc na jajku, które chcemy zostawić białe, albo którym chcemy nadać barwę inną od tej, w której jajko w danej chwili gotujemy. Przez kikakrotne powtórzenie tej czynności możemy otrzymać deseń w kilku kolorach. Pamiętać przytem należy na wynik mieszania niektórych barwików np. niebieskiego z żółtym, który daje kolor zielony.

Lud nasz używa najczęściej barwików roślinnych. Chcąc farbować na żółto — gotują jaja w łupinach cebuli; na brunatny — w brazelji; na fjoletowy — w listkach ciemnej malwy; na zielony — w listkach

osiki, jemioły, lub młodego ziela; na czerwony — w odwarze robaczków, zwanych „czerwcem“. Do „pisania“ służy szpilka, słomka, koniec sznurowadła, lub t. zw. pisak, naczyńko z cieniutką rureczką przez którą przepuszcza się wosk roztopiony.

Gdy przyjrzymy się naszym ludowym pisankom zadziwi nas umiejętność w doborze barw i rozmaitość w rysunku. Wzór ornamentu brany bywa zazwyczaj z natury, bo jak mówi Z. Gloger: „natura była mu matką, a fantazja sukienką, w którą się później przywdział“, widzimy więc na pisankach jodłowe gałązki, kurze łapki i przeróżne odmiany gwiazdek lub listków.

Takie pisanki przedstawiają znaczną wartość, więc służą najczęściej za podarki. Szkoda byłoby używać ich n. p. do znanej gry wielkanocnej „na wybitki“, polegającej na uderzaniu końcem jaja w drugie jaje, trzymane w ręku przez przeciwnika. Czyje jaje się stłucze ten przegrywa i winien swe jajko oddać szczęśliwemu zwycięzcy. *N*

* * *

A jakie inne znacie jeszcze staropolskie zwyczaje wielkanocne? — Może kto o nich do Redakcji napisze?

KALENDARZYK OGRODNICZY.

Kwiecień.

A). *W ogrodzie owocowym.*

Należy kończyć sadzenie i przesadzanie drzewek i rozsadzać dziczki, wyrosłe z ziarek owocowych. Odkryć wimorośl, brzoskwinie i morele, rozpiąć gałęzie i przyciąć, pamiętając, że winorośl przycina się jesienią — lekkie przykrycie mieć pod ręką, by móc się niem posłużyć w razie nieprzewidzianych przymrozków. Oczyszczać drzewa z owadów przez skrapianie cieczą bordowską (na 100 l. wody 1 kg. wapna niegaszonego, 1 kg. siarczanu miedzi („siny kamień“]. Miejsca chore, rakowate trzeba obciąć aż do zdrowej kory i zasmarować maścią ogrodniczą, zrobioną w następujący sposób:

Na 250 gr. kalafonji, bierze się 125 gr. żywicy sosnowej, „biała smoła szewska“, 50 gr. łoju. Wszystko stapia się na ogniu, a po ostygnięciu poniżej temper. zapalności dolewa się 100 gr. mocnego spirytusu. Udanie się maści zależy od dokładnego rozpuszczenia się i zmięszania składników. Maść trzeba przechowywać w puszkach lub słoikach szczelnie zamkniętych. W połowie kwietnia można zacząć szczepienie drzew. Nie zapominajmy o zawieszeniu domków dla naszych skrzydlatych śpiewaków, co niezmordowanie tępią szkodliwe owady.

B). *W ogrodzie warzywnym.*

Na początku miesiąca: wysadzić w inspekcie ciepłym arbuzy, melony, ogórki. Przesadzać do doniczek lub skrzynek w ciepłym inspekcie wczesne pomidory.

W zimnym inspekcie lub gruncie. Wysiać: cebulę, koper, melissę, kapustę, kalafjory, sałatę gruntową.

Siać wprost w ziemię: groch, karczochy, kukurudzę, mak, marchew, buraki, ogórki grunt we, pietruszkę, rzepę, rzodkiew i rzodkiewkę, salsefję, słonecznik, soczewicę, szczaw, szpinak i t. d.

Przy końcu miesiąca rozpocząć zbiór szparagów.

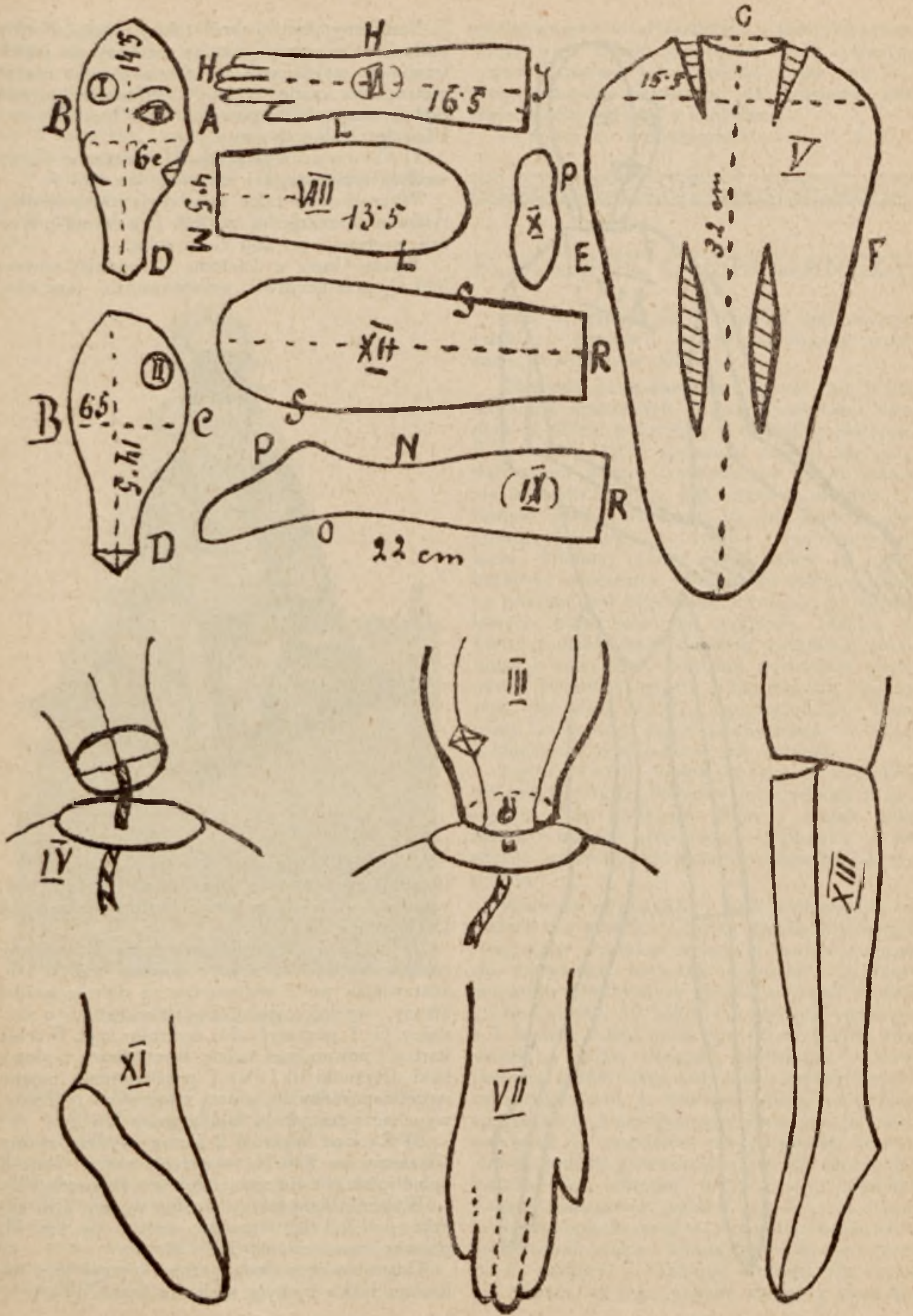
C). *W ogrodzie kwiatowym.*

Ukończyć roboty marcowe. Rozsadzić roślinki siane w miskach w większych odstępach. Sadzić do doniczek georginje; gdy młode pędy wyrosną na 6—10 cm. sadzonkować dla rozmnożenia. Siać trawniki i wyznaczać kwietniki. Przekopać klomby obsadzone krzewami. Po wyjęciu róż z ziemi, przyciąć silne pędy na 4—6-ściu oczek, słabsze na 2—4-ch i ukształtować dowolnie koronę. Rozdzielać krzaczki roślin trwałych. Sadzić w grunt jaskry i zawilce, a w końcu miesiąca cebulki mieczyków. Rozsadzić kwiaty dwuletnie jak: niezapominajki, stokrótki, bratki, dzwonki, naparstnice, gwoździki i t. d. Siać na gruncie: rezedę, powój, groszek pachnący i t. d. Sadzić na zagonkach lewkonje, wyhodowane w inspekcie.

LALKI.

Zaludniły się nasze pokoje. — Na kanapach i fotelach siedzą takie małe, milczące osóbki, czasem biało i czarno ubrane — czasem barwne, tak barwne, że nie boją się kłaść na siebie naraz czerwonego, niebieskiego, zielonego.— Kto to? — Japonki ze skośnemi oczami — uśmiechnięte murzynki, roześmiane dzieci. Może dla niejednych to miłe — ale dla innych mają ci goście wielkie wady: Są nam dziwnie obcy i — bardzo kosztowni.

Można przecież temu zaradzić. Lalkę zrobić samej w domu — więc będzie tania — ubrać po naszemu, więc będzie swojska.



145
I
B
A
6e
D
H
H
VI
16.5
L
VIII
13.5
L
X
P
E
C
15.5
V
32 cm
F
S
XII
R
S
II
B
6.5
C
D
P
N
(IX)
R
O
22 cm
IV
III
XI
VII
XIII



Podajemy poniżej wzór takiej roboty. Formy podane są w pomniejszeniu; rozmiary do jakich trzeba je powiększyć są zaznaczone w centymetrach na każdej rycinie. — Płótno, z którego będzie uszyta lalka powinno być bardzo gęste i trwałe. Kolor obojętny.

1) Głowa: Wyciąć dwie identyczne formy według ryciny nr. I i zeszyć je po linji A.

Wykroić znów takie same dwie formy według rysunku II zeszyć je po linji B z formą pierwszą, następnie po linji C ze sobą.

Wyciąć koło z kartonu o średnicy równej linji D, przedziurawić, przeprowadzić tasiemkę,



(mocną) zawiązaną na węzełek od górnej strony, wypchać głowę i przyszyć karton według linji D (Rysunek III i IV).

2) Tułów: Wykroić dwie takie same formy według ryciny V, zeszyć według linji E i F, zostawiając po 2 centymetry na dole z każdej strony, wyciąć owalny kawałek kartonu o średnicy G i przyszyć do wykroju szyi. Przebić karton i powciągnąć taśmę, wychodzącą z głowy lalki (Rysunki III i IV) i przytwierdzić mocno węzełkiem, żeby się głowa z tułowiem trzymały, wypchać i zeszyć do końca szwy E i F.

3) Ręka: Wykroić 2 formy według ryciny VI zeszyć po linji H, wypchać, zeszyć linję I, palce rozdzielić od siebie stebnem (rysunek VII).

Wykroić dwie formy według ryciny VIII, zeszyć po linji L, wypchać, zeszyć po linji M, połączyć zeszyciem linji F i M.

Gdy obie ręce będą gotowe zeszyć je z tułowiem lekko by były ruchome (rys. XIV).

4) N o g a: Wykroić dwie formy (rys. IX) zeszyć po N i O, wykroić stopę (rys. X), zeszyć z formą nr. IX po linji P (rys. XI) wypchać i zaszyć linję R.

Wykroić dwie formy (rys. XII) zeszyć po linji S wypchać, zaszyć po linji R i połączyć z linją R rysunku IX (rys. XIII).

W ten sposób zrobione nogi połączyć lekko z tułowiem (rys. XIV).

W ten sposób mamy już gotowy szkielet lalki.



Lalka w stroju ludowym.

Można robić lalki różnej wielkości, mogą mieć nos bardziej wydłużony lub zadarty.

Zależy to od tego czem lalka ma być. — Włosy murzynki robi się z czarnej wełny, włosy jasne z konopi. Najważniejszą, a zarazem najmilszą częścią pracy jest ubranie i ucharakteryzowanie lalki. Tu dla fantazji pole szerokie. Jeśli jedni chcą mieć murzynki lub japonki, innym więcej zadowolenia daje wierne odtwarzanie naszych barwnych strojów ludowych, albo też postaci, występujących w arcydziełach naszej literatury. Mogą więc zjawić się różne Kasie i Marysie z pod Krakowa lub Łowicza, Zosie czy Telimeny, panowie Skrzetuscy lub Sędziowie, albo stare Maćki — i to z królikami!

— A wy co wybierzecie? *I. S.*

PORADNIK GOSPODARCZY.

Cóż tu radzić na Wielkanoc jak nie **mazurki!** — prawda? A więc spróbujmy zrobić same powszechnie lubiany.

Mazurek czekoladowy. W tym celu 1 funt migdałów sparzonych w gorącej wodzie i obranych ze skórki, pokrajemy w cieniutkie płateczki. Z tą robotą trzeba się zwijać szybko, aby migdały przez długie moczenie nie traciły smaku ani aromatu. 2 całe jaja utrzemy dobrze z 1 funtem cukru miałkiego (t. zw. mączki, albo pudru), dosypując po trochu 1 funt czekolady tartej. Ubijemy pianę z 6-u białek jaj i delikatnie ją zmięszamy z czekoladą utartą z jajami i z pokrajanemi migdałami, uważając, by migdałowych płateczków nie pognieść. Blachę, na której chcemy piec mazurek wysypiemy lekko mąką i wyłożymy opłatkami, podwójnie złożonemi. Na nie nałożymy przegotowaną mieszaninę, nie więcej jak $1^1/_2$ cm. wysokości. Wstawimy do ciepłego pieca na kwadrans. — Wyjąć z blachy i krajać można, gdy ostygnie.

2-gi s p o s ó b polega na tem, że migdałów nie krajemy tylko tłuczemy lub mielemy w maszynce i nie dodajemy piany z białek tylko żółtka z cukrem ukręcone. — Mazurek w ten sposób zrobiony nie jest tak delikatny jak poprzedni.

Mazurek cygański. 1 funt rodzynków tureckich bez pestek, $^1/_2$ funta drobnych czarnych rodzynków wypłukać w zimnej wodzie i oczyścić, obrywając ostrożnie „ogonki“, $^1/_2$ funta migdałów obranych ze skórki pokrajać w dość grube kawałki, 10 żółtek i 2 całe jaja rozetrzeć z 1 funtem cukru miałkiego (t. zw. pudru, albo mączki). Można dosypać po trochu 1 łyżkę pszennej ładnej mąki. Gdy jaja z cukrem i mąką tak będą utarte, że odstawać będą od donicy, wsypać do nich przygotowane rodzynki i migdały, uważając, by migdałów nie rozgnieść, bo mazurek cygański przeznaczony jest dla amatorów, którzy lubią chrupać przypieczone migdałki. Całą tę mieszaninę wyłożyć (na $1^1/_2$ cm. wysokości) na opłatki ułożone podwójnie na blachach, wysypanych mąką. Wstawić do ciepłego pieca na $^1/_2$ godziny. — Takiego mazurka nie ubiera się lukrem, bo jego ozdobę stanowią sterczące

śmiało ku górze rodzynki i przyrumienione migdałki.

2-gi sposób polega na tem, że zmieszane rodzynki i migdały układa się na cieniutkiem kruchem cieście (albo także na opłatkach) i pokrywa się polewą zrobioną w następujący sposób: 1 funt świeżego masła rozpuścić i wlać do donicy i uwiercić aż do białości, wbić w to 10 żółtek, bijąc po jednem i 4 całe jaja, wsypać po trochu 1 funt cukru i razem dobrze rozetrzeć.

Pokryty taką polewą mazurek można ubrać jak kto chce.

OD REDAKCJI.

Czy znacie **„Fulę w V klasie"**? Pytam o książkę pod tym tytułem, napisaną przez Stefanję Wandyczową, bo przypuszczam, że różnych Fuli i Nie-fuli, z V lub bliskich V klasy, znacie wszystkie bardzo dużo. Otóż, która z was tę książkę zna lub pozna może zechce zastanowić się nad tem czy i w czem, dziewczynki, występujące w tej powieści, są podobne do znanych wam dziewczynek, z pośród waszego otoczenia? — Spostrzeżenia wasze moglibyście nadesłać do Redakcji, a jeśli byłyby zajmujące, charakterystyczne, to mogłyby być wydrukowane. Praca taka byłaby dostępną także i dla młodszych naszych czytelniczek.

Co sądzisz o tem **Szaroto polna z Krotoszyna**?

Czy zdążyłabyś to napisać przez święta? — Twoje rozwiązanie zadania konikowego wypadło zupełnie dobrze i tym razem nie spóźniło się. Ciekawa jestem, którą zagadkę z obecnego numeru rozwiążesz — może wszystkie?

Janinko D. z Poznania. Za milutki liścik serdecznie dziękuję. Rozwiązanie łamigłówki przyszło trochę za późno. Porównawczej oceny, powieści London'a i Reymonta jeszcze nie otrzymałam. Ogłaszamy najlepszą z otrzymanych dotychczas. — Jeślibyś nie zgadzała się z twierdzeniami autorki, mogłabyś o tem pod adresem redakcji napisać. — Może wywiązałaby się w ten sposób zajmująca dyskusja. — Książki francuskiej, o której piszesz, nie znam. Chciałabym ją przeczytać. Gdzie wydana?

Marylko Ł. ze Stanisławowa. To wielka Boża łaska, dziecino, że wiesz gdzie szukać pociechy w tak ciężkiem zmartwieniu. W modlitwie, u stóp Marji, znajdziesz ją bezwątpienia. Wierszyki twoje, pełne uczucia, trafiły mi do serca, jednakże teraz drukować ich nie możemy. Jeżeli masz inne prace gotowe — to owszem, przyślij je nam. Nic nie trzeba, ale wszystko można do redakcji przysyłać. Obecnie pożądany byłby ładny opis miejscowości w której przebywasz, lub zajmującej wycieczki. — Do której szkoły uczęszczasz? Podaj mi dokładny swój adres, abym mogła także listownie ci odpisać.

M. S. w Innsbrucku. Za nadesłany artykulik serdeczne dzięki — do tego numeru już spóźniony. Przyda się w następnych.

Trzpiotko z Krotoszyna, czemu wybrałaś pseudonim takie brzydkie posądzenie podsuwający? — A może właśnie kłam zadasz nazwie i czynu wielkiego, poważnego dokonasz? Może choćby takiego, jak spowodowanie banicji wszelkich „Kłód" i „Kurjerów"? — „Historja szkolnego bryka" opowiada zdarzenie prawdziwe, czemużby i u was nie wzgardzono tą wcale niezaszczytną pomocą?

M. S. w Lublinie. Bardzo lubię dużo dostawać listów i dużo na nie odpowiedzi dawać w gazetce. „Własnem piórem" będę mogła odpisać w czasie wakacyj świątecznych. Szkoda, że ocena powieści Londona i Reymonta nie nadeszła. Drukujemy najlepszą z dotychczas otrzymanych.

Jadzia P. i Jasia H. z Krakowa dobrze rozwiązały łamigłówkę.

Zosia J. i Hania P. z Krakowa dobrze rozwiązały zadanie konikowe — łamigłówkę błędnie.

Z łamigłówek nadesłanych przez **Ir. Sw.** i **Krysię G.** jedną umieścimy.

Irenkę K. z Krakowa prosimy o ułożenie innej łamigłówki, bo nadesłana jest zbyt łatwa.

NASZE SZKOŁY.

Gimnazjum SS. Urszulanek w Krakowie.

„Bunt" Reymonta i **„Zew krwi"** Londona.

Porównanie.

1). **Zew krwi — Śpiew żórawia.**

Idea, wiążąca obie powieści i stanowiąca podkład obu, to dążenie do wolności, i do wyzwolenia się z pod wszelkiego panowania. Tak Reymont jak i London wcielili te uczucia w zwierzęta, aby przez subtelną allegorję, oddać je jasno i wyraźnie. „Zew krwi", oto jak

nazwał London ten popęd do wolności: Pies Buck jest u niego kombinacją 2-ch natur. Jedna z nich przybrana, ukształtowana przez wielowiekowe obcowanie i poddanie się człowiekowi, która nakazuje psu uznawać ludzi nad sobą, jako siłę nie czysto materjalną, ale duchową.

Dopóki ta natura trwa w Bucku, pies czuje pewien pociąg do ludzi: leży posłusznie u stóp dawnego swego pana — sędziego, służy wiernie zmieniającym się dalszym opiekunom, przywiązuje się wreszcie do Johna Thorntona, tak, że życie gotów oddać za niego. Gdy jednak po przezwyciężeniu tej natury dochodzi do wniosku, że „odtąd nie będzie bał się człowieka, chyba takiego co trzyma w ręku kij, łuk lub dzidę", od tej chwili, wszelki pociąg do człowieka ustaje — pies oddaje się w zupełności naturze swojej pierwotnej. A ta, odzywała się w nim już dawno; odkąd poznał „prawo pięści i kłów" raz po razie „sięgał wspomnieniem do młodości swej rasy", mgliście coprawda i po omacku, ale z czasem coraz wyraźniej i jaśniej. Samorzutne zdobywanie łupu, niezależność, panowanie, stają mu jako dalekie widziadła, będące odbiciem, reprodukcją, jego własnej natury.

Ambicja, przez którą stara się zdobyć pierwsze miejsce w ciągnieniu sanek, wszelkie starania, aby lepiej służyć swemu panu, uczucie zadowolenia z tego, że człowiek jest z niego dumny — to wszystko jest owocem wiekowego poddaństwa: London, uważa popęd do wolności za „zew krwi", za wytwór natury, dążącej do wyzwolenia.

Inaczej przedstawia rzecz Reymont. W „Buncie" idea wolności jest podsunięta od zewnątrz: nie widzimy u Rexa walki dwóch natur. Jest tylko walka jego samego z czynnikami zewnętrznemi. „Żeby ocenić wolność — trzeba się wolnym urodzić" — rzuca Rexowi puhacz, a więc walka będzie niczem dla Rexa i dla zwierząt, które zbuntował; po proteście przeciwko władzy człowieka, wróci do ludzi cała gromada rebeliantów, aby uznać ich wyższość i oddać się w ich ręce.

Głos żórawia, to właściwie origo buntu. Pies urodzony w niewoli, słyszy od ptaka, z podniesioną do księżyca głową, „melodyjne jakieś baśnie, wyrwane z tęsknot serc strapionych" — słyszy „pieśn o ziemiach, gdzie wszelkie stworzenie żyje wolne, szczęśliwe..." Wtedy Rex zapomina przestrogę puhacza i postanawia zakosztować tej rozkoszy, obyć się bez cudzego panowania. „Na Wschód! na Wschód!" woła w uniesieniu — i prowadzi pod przewodnictwem żórawi zwierzęta, jakie mógł zdobyć dla tej sprawy, do cudnej krainy baśni. On liczy na siłę i ilość buntowników... Dopiero, gdy ofiara po ofierze pada na drodze, a obiecana ziemia się nie zjawia, przekonywują się ci „niewolni" urodzeni, że „niewola" jest ich przeznaczeniem i szczęściem zarazem, bo choć są siłą ilościową, człowiek góruje nad nimi siłą rozumu.

To przeciwstawienie masy jednostkom, posiadającym panowanie, jest łatwą do zrozumienia przenośnią: Rex mówi o ludziach: „Nie trapi ich codzienna troska o istnienie, bo na nich pracują tysiące naszych pokoleń, pracują: woda, powietrze, słońce, ziemia, świat cały... To jest kamień węgielny ich potęgi. Odebrać im niewolników, a skończy się ich wielkość, zostaną bardziej nędzni i bezbronni niż my. Wtedy zapanuje doskonała równość". Wkońcu ta bolszewicka utopja wypowiedziana przez Rexa, doprowadza do katastrofy, w przeciwstawieniu do zwycięskiej walki Bucka, która była tylko zrzuceniem przybranej natury.

2). Człowiek a zwierzę.

Buck umiał przywiązać się do człowieka wskutek drugiej swojej natury, która mówiła mu, że on jest jego zwierzchnikiem i panem. Ale jeden był tylko człowiek wybrany, który wzbudził w psie miłość — uwielbienie. Był nim John Thornthon. Na zimnem, białem tle północy, widzimy psa, postępującego krok w krok za człowiekiem, którego kochał. Porozumienie ich było wzajemne, a tak daleko posunięte, że siła spojrzenia psa, odwracała głowę człowieka, „a wtedy bez słowa serce Thorntona jaśnieć poczynało w oczach, jak jaśniało serce Bucka". Dwa razy ocalił Johnowi życie, stał się przyczyną jego wzbogacenia. Jednakowoż „pomimo wielkiej miłości, która zdawała się znamionować słodki wpływ cywilizacji — silną i żywą została w Bucku skłonność do pierwotności. Uczucie, rozkwitłe przy ognisku, umiało gościć w jego sercu — zachował jednak chytrość wilczą". Dlatego Buck nie potrafił oprzeć się naturze swojej pierwotnej, dlatego miłość do wolności, do otwartych, szczerych pól i lasów, skąd dochodził do niego ów „zew", większa była, niż miłość do człowieka, „słodki wpływ... cywilizacji..."

Rex z „Buntu" innemi oczami patrzy na człowieka. Urodzenie w niewoli nakazuje mu nienawidzić swego pana. Do ostatniej chwili walki, pies nie cofnął się, nie zmienił swego przekonania, że człowiek jest powodem jego nieszczęścia. Wolne zwierzęta naigrawają się z niego, głoszą cuda życia nieskrępowanego przez człowieka, a Rex pod ich wpływem coraz więcej nienawidzi. Pociąg do człowieka, który się czasami w nim odzywa, na wspomnienie dawnego pana — ciągle maleje. Zastępuje go świadomość coraz większa, że jest tylko niewolnikiem, podczas, gdy tyle innych stworzeń żyje na wolności.

Tu jest podstawowa różnica między Rexem a Buckiem. U Bucka niema źdźbła zawiści, za wszystkie krzywdy ludzi — to, co pies czuje, przypisać można jedynie tylko jego indywidualizmowi. Rex zaś pozostaje pod ciągłym wpływem istot wolnych, których natura jest odrębna; dlatego walka psa przeciwko naturze, musi wypaść ujemnie, jako walka negatywna. Rex w swojej bezwzględności posuwa się bardzo daleko, nie znosi w swoim obozie ani źdźbła sympatji dla człowieka, wyrzuca wiernego Niemowę, który z przywiązania do niego podążył na Wschód, ale — zabić tęsknoty nie był w stanie.

Takie postępowanie Rexa względem biednego chłopca, przez wszystkich sponiewieranego, zraża nas do niego. Gdy buntownicy, uwiedzeni daleko od ludzi, mrący z głodu i pragnienia, rzucają się na „tyrana" z okrzykiem „Chcemy żyć", Rex, nie wzbudza w nas litości. On nie jest ofiarą swojej natury, ale ofiarą walki przeciwko tej naturze.

3). **„Zew krwi" — indywidualizm jednostki. „Bunt" — psychologja tłumu.**

Tak dałby się scharakteryzować motyw psychologiczny w obu książkach. Personifikacja u Reymonta jest wyraźniejsza, przenośnia dobitniejsza. Rex rozmawia z Niemową, rozumie go, myśli niejako z nim razem. Porozumiewa się ze zwierzętami, jako wódz rewolucji, jako agitator, dążący do przewrotu.

Zwierzęta z początku, ociągają się. Nie przyszła im do tej pory myśl lepszego jutra. Rex je podnieca, zmusza prawie do posłuchu, nie pozwala na opozycję, ...bo chce ich dobra, nienawidzi władców. Jednego tylko Rex nie rozumie, że sam staje się władcą, który przyczyni się daleko więcej do nieszczęścia zwierząt. bo nie ma potęgi, ani rozumu człowieka.

Nie pojmuje tego Rex aż do chwili śmierci, w której jego samego, marzącego o bolszewickim raju, ogłaszają — tyranem!!

Terenia Ledóchowska, VIII. kl. gimn.

ŁAMIGŁÓWKI - SZARADY.

1. ARYTMOGRAF.
(Ułożyła J. Popielówna).

1		3	8	5	10	3	
2	2	11	3	7	9	1	8
3		6	14	12	7	8	
4		4	11	12	11	4	
5			16	11	20		
6			16	21	13		
7	17	15	9	4	20	11	13
8		10	15	20	9	4	

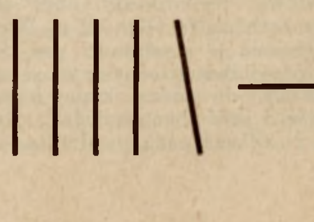
Zamiast cyfr wstawić litery tak, aby utworzyć 8 nazw roślin, których litery środkowe, czytane z góry na dół utworzą nazwisko słynnego botanika.

Cyfry są dowolnie obrane i nie mają nic wspólnego z porządkiem alfabetycznym liter, ale dana cyfra odpowiada zawsze tej samej literze.

Znaczenie wyrazów: 1) Kwiat hodowany przeważnie po wsiach, 2) Roślina pasożytna, 3) Roślina z rodziny ogórkowatych, 4) Roślina, której strączki są lecznicze, 5) Krzew ogrodowy, 6) Drzewo, 7) Kwiat z rodziny motylkowatych, 8) Kwiat, ozdoba lasów w jesieni.

2. ŁAMIGŁÓWKA KRESKOWA.
(Ułożyła J. Popielówna).

Z czterech kresek pionowych, jednej pochyłej i jednej poziomej ułożyć nazwę rzeki.



3. ZAGADKA GOSPODARSKA.



(Rysunek Andriollego).

CZEMU TAK SIĘ STAŁO?

Wyczerpująca odpowiedź na powyższe pytanie będzie liczona za dwa dobre rozwiązania.

* * *

Za każdą dobrze rozwiązaną łamigłówkę, szaradę, czy zagadkę liczymy zwykle jeden punkt. — Kto do końca półrocza będzie miał najwięcej punktów — otrzyma nagrodę.

4. ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

(Ułożyła M. Morstinówna).

J e z i o r o   T a n g a n i k a

Z liter tworzących te dwa wyrazy ułożyć 8 następujących nazw geograficznych, uważając, by w jednej nazwie nie umieścić więcej liter niż jest podane.

1) Kotlina w Afryce, 2) Wodospad w Ameryce, 3) Rzeka w Europie, 4) Miasto w Europie, 5) Miasto w Japonji, 6) Szczyt górski w Afryce, 7) Miasto w Afryce, 8) Wyspa japońska.

Rozwiązanie zadań z Nr. 3.

1. **Zadania konikowego.** Ludzie kochający idee i dla nich żyjący, to dzwony, które do świątyni zwołują ospalców.

Dobrych rozwiązań nadesłano 5.

2. **Szarady.** Okolica.

3. **Łamigłówki**

1. Dunkierka	6. Elekcje
2. Czarniecki	7. Levenburg
3. Zwingli	8. Covenant
4. Kieś	9. Jan Colbert
5. Jezuici	10. Jagiellonowic

„Dziś i Jutro"

Dobrych rozwiązań nadesłano 2.

Przysłowia i prognostyki o wiosennym siewie i urodzajach.

Ciepły kwiecień, mokry maj
Będzie żytko, jako gaj.

Kwiecień plecień, bo przeplata
Trochę zimy, trochę lata.

Kiedy grzmi na Wojciecha
Rośnie w polu pociecha.

Kto sieje jarkę po świętym Wojciechu
Lepiej, żeby ją zachował w miechu.

Kto sieje groch w marcu,
Gotuje go w garncu
A kto w maju — ten w jaju.

TREŚĆ Nr. 3.

Z Życzeniami

Wesołych Świąt!

Redakcja.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Rocznie w kraju 6 zł, zagranicą 8 zł. Półrocznie w kraju 3 zł, zagranicą 4 zł. Przedpłatę nadsyłać do Administracji „Dziś i Jutro", Kraków, ul. Starowiślna 3. Szkołom zamawiającym większą ilość egzemplarzy, do każdych 10-u dołącza się 11-y egzemplarz bezpłatnie. Konto P. K. O. 404.930.

OGŁOSZENIA: $^1/_1$ str. 100 zł, $^1/_2$ str. 60 zł, $^1/_4$ str. 30 zł, $^1/_8$ str. 20 zł. Przy wielokrotnych ogłoszeniach opust według umowy.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.

DRVKARNIA·POLSKA
KRAKOW